Nr. 23. Lwów, Niedziela dnia 4. Czerwca 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXII.

Zniechęcenie i jego przyczyny.

Nic częstszego u nas — jak narzekanie na apatję, ogarniającą kraj cały, a szczególniej tych, którzy mu w pracy przodować i własną energją sił mu dodawać powinni, w naszej miejskiej i wiejskiej inteligencji. I zaprzeczyć się nie da, że narzekania te są w ogóle biorąc, słuszne, że zastęp pracowników nie wzrasta tak, jak tego potrzeba kraju i szeroki zakres koniecznych do podjęcia prac wymaga, że wiele spraw bardzo żywotnych leży odłogiem, inne podjęte bez dostatecznego udziału i poparcia ze strony kraju doznają bolesnych niepowodzeń, że obok tego wszystkiego a raczej może skutkiem tego widzimy także zbyt mało wybitniejszych indywidualności, któreby zasługami w tych pracach położonemi wyrastały nad poziom i tworzyły niejako ognisko życia i pracy. Nie dość jednak stwierdzić fakt smutny, należy zbadać jego przyczyny, a z tego wyprowadzić także środki zaradcze.

Przyczyny tej apatji szukają jedni w niepowodzeniach politycznych; na to pole zapuszczać się nie możemy, nie będąc pismem politycznem. Inni szukają jej w bezowocności dotychczasowej pracy, a przeciw temu musimy już stanowcze założyć *veto*, widzimy bowiem, że co tylko miało w samym pomyśle racjonalną podstawę i warunki powodzenia, co było podjęte z energją, wytrwałością i dobrą wolą, przyniosło już pomyślne owoce. A jakkolwiek w abecadle prac naszych nie dalekośmy jeszcze zaszli po za literę *A* — jednak zaprzeczyć się nie da, że na polu oświaty i nauk, a nawet na polu ekonomicznem widoczne są od lat kilku postępy. Te małe wprawdzie ale niezaprzeczalne jednak rezultaty, powinneby raczej zachęcić ogół do pracy i przekonać każdego że skoro tylko zastęp gorliwych się pomnoży, skoro każdy przyłożyć zechce rękę do dzieła wspólnego dobra, rezultaty muszą być pomyślniejsze. Jedną z bardzo ważnych, a w samej naturze ludzkiej uzasadnionych przyczyn zniechęcenia, są klęski ekonomiczne ostatnich kilku lat, krach giełdowy, nieurodzaje obok niskich cen, bankructwa kupieckie, a wskutek tego wszystkiego zastój w ogólnym ekonomicznym obrocie, uszczuplenie się pewne w wydatkach, zamknięcie się w ciaśniejszem kółku prac zarobkowych. Jest to do wytłumaczenia, ale nie możemy przyznać, jakoby było racjonalne. Nie pokonamy przeciwności tych zamykając się sami sobie — ale owszem pokonać je możemy tylko ściślejszą niż dotąd solidarnością, usiłowaniami wspólnemi, asocjacją — a tego wszystkiego nieprzyjacielem jest owo zniechęcenie, jakie nas ogarnęło. Tak jak żaden ruch żywy w jakimkolwiek kierunku rozbudzony nie da się na pewnym punkcie zatrzymać, ale szerzy się dalej i ogarnia inne także kierunki narodowego życia; tak też i zastój w jakiejkolwiek gałęzi powstały udziela się z czasem wszelkim innym pracom i sprawom narodu. Zniechęcenie dla spraw politycznych, narodowych, dla spraw oświaty, dla spraw harmonijnego społecznego zbratania — musi się także udzielić sprawom ekonomicznym, i skończy się na tem, że i w tym kierunku, dzisiaj w skutek doznanych klęsk tak wiele wymagającym pracy, opuścimy zupełnie ręce i dozwolimy złemu wyrość nam po nad głowy.

Jako dalszą przyczynę zniechęcenia i apatji podają niektórzy nasze walki stronnictw, twierdząc, że wielu garnęłoby się chętnie do życia publicznego, gdyby nie to, że w tych walkach można się nieraz spotkać z niesprawiedliwem czynności swych ocenieniem, z omylnem tłumaczeniem najlepszych nawet chęci. Naszem zdaniem twierdzenie to wynika z bardzo mylnego pojmowania dróg, któremi idzie w narodach wszelki rozwój i postęp. Nie walka stronnictw, ale niedostateczne ich zorganizowanie, brak ścisłego odgraniczenia, brak jasno sformułowanych programów, jest jedną z przyczyn naszych niepowodzeń. Nigdy postęp inaczej dokonać się nie da, jeno odskokiem pewnych dążeń i kierunków nowych, od tych które poprzednio wszechwładnie panowały, a odskok taki wywołuje koniecznie walkę, ścieranie się nowych prądów z dawnemi. Im jaśniej są sformułowane te dążenia, im wybitniejsze programy walczących, tem korzystniejsze będą dla narodu wyniki takiej walki, tem więcej znajdzie się w niej płodnych zarodów. Gdyby każdy z wykształconych w narodzie miał wyrobione silne i stałe przekonania w rzeczach publicznego dobra, gdyby na podstawie tych przekonań potworzyły się obozy chociażby najzawzięciej ze sobą walczące, szeregi pracowników przez to tylko by się powiększyły, wtedy bowiem każdy działałby w interesie swego stronnictwa, w duchu swoich przekonań, a pociski przeciwników zamiast go zniechęcić raczejby go do walki i do działania zagrzały. Niech się zorganizują stronnictwa, niech swe sztandary jawnie rozwiną a apatja zniknie.

Są inni znowu, którzy dziwną logiką im więcej w sobie czują ciepła, tem większą szerzą w około apatję. Jest to fenomen tylko w naszych stosunkach możliwy. Najgorętsi patrjoci, ci którym potężnie zawsze przyświeca wielka nasza idea narodowa, którzy noszą w piersi nieskalany ideał Polski, popadają nieraz w ten błąd, że nie chcą widzieć organicznego związku prac dzisiejszych z tem, co jest treścią całego naszego porozbiorowego żywotu. Powiadają, że ta nasza „praca“ to bezprogramowy ogólnik, nie chcąc zrozumieć tego, iż programem tej pracy jest „siła dla praw“ czyli wytworzenie siły, któraby szła na usługi nieprzedawnionych praw naszych, w przeciwstawieniu do programu wrogów streszczonego w słowach: siła nad prawem. Oni są jak poeta, o którym jego anioł opiekuńczy mówi: „ty cały łamiesz się w boleści — a twoja ręka szuka rękojeści,“ podczas gdy stosunki chwili obecnej zamiast rękojeści szabli, młot ciężki każą nam brać do ręki. Oni rozumią tylko program, wypisany w błysku działowego ognia i bagnetów, nie pomni że ideał nie przestaje być ideałem przez to, że zmierzając do niego używa się tych środków które w danej chwili są możliwe, zostawiając na boku środki obecnie niemożliwe. Skutkiem tego patrzą z góry na naszą mrówczą pracę i wołając nieraz aż nazbyt donosłym głosem, że się ona na nic nie przyda,

tem samem wielu od niej zniechęcają. Czem trafić do serca i rozumów tych ludzi? Sądzimy że nie tak to trudno, jak się wydaje. Jeżeli z naszego życia publicznego wyrzucimy to wszystko co razić może i musi prawdziwie patrjotyczne uczucie, jeżeli wszelki serwilizm należytą otoczymy pogardą, jeżeli nie będziemy nigdy zapominać o tem, cośmy winni narodowej godności naszej, przekonamy łatwo tych, którzy programowi pracy dzisiejszej zarzucają zapomnienie o narodowym ideale Polski...

Wreszcie o jednej jeszcze przyczynie zniechęcenia wspomnieć nam wypada. Jest nią mylna metoda w wielu pracach publicznych przyjęta — metoda, która nie jest zdolną zainteresować szerszego ogółu. Są sprawy, w których koniecznie inicjatorowie sami i do kierownictwa narzucić się muszą. Są jednak inne, a liczne, w których takie narzucenie się z góry paraliżuje wszelką działalność i wywołuje zniechęcenie u dołu — a to tem bardziej, jeżeli ta „góra" narzucając się przekracza swoje atrybucje, a ten „dół" ma pewne prawa, jak prawo wyboru, sądu i kontroli — i widzi się tych praw „z góry" pozbawionym. W imię solidarności najczęściej przycicha w takich razach wszelka opozycja — ale też i przycicha ruch, ostyga zapał, słabnie energja. Wytwarza się pewne przymusowe położenie, w którem nikt się nie czuje dość swobodnym do pełnego rozwinięcia swej siły. Jest wprawdzie posłuch, ale zupełnie bierny, tj. taki, iż nikt nie działa przeciw temu, co owa „góra" nakaże, ale też nikt szczerze nie pracuje. Położenie takie tem pewniej wytworzyć się musi, jeżeli ci, którzy krajowi w takich razach zostają narzuceni, otoczeni są jakąś urzędową powagą, i zasłaniają się mandatem, dowodzącym wprawdzie pewnego zaufania obywateli, ale nie upoważniającym jeszcze do tej właśnie czynności. Otóż w takich razach nie ma innego sposobu przełamania ogólnej apatji, jak tylko zejść do „dołu" — i na wyborach, na zaufaniu ogółu oprzeć ten organ pracy, który miał być krajowi narzuconym. Wtedy bowiem każdy będzie się czuł silnie z nim zsolidaryzowanym, każdy w części za czynności jego odpowiedzialnym. Wtedy też stokroć pewniej na powodzenie liczyć można aniżeli oddając całą sprawę w ręce organu narzuconego z góry. Odnosimy to szczególniej do najważniejszej sprawy publicznej jaka nas tego roku czeka — do sejmowych wyborów.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

VIII.

Otwierała się zatem przed Stanisławem Konstancją i przed osiemdziesięcioletnim rotmistrzem droga tego pielgrzymstwa, na które od tak już dawna każde pokolenie na polskiej ziemi wyrosłe pątników swoich wysyła: — droga tułactwa.

Nieprędko pogodzili się z tą myślą, nieprędko w nią uwierzyli, ze wszystkich złudzeń na tym świecie, nadzieja zwycięstwa słusznej sprawy jest złudzeniem które najtrudniej człowieka opuszcza, najtrudniej zwłaszcza opuszcza ludzi wychowanych w wierze w Opatrzność i porządek boży na ziemi. Może nowe pokolenia w pozytywniejszych przekonaniach wyrosłe, prędzej i łatwiej będą z losem się godziły... nas kołysała jeszcze poezja, więc poetycznie na świat patrzaliśmy, i ci z nas nawet, którzy otwarcie wypierali się wiary w cud, w głębi duszy mimowolnie oczekiwali cudu...

Nieprędko także Austrja zdecydowała się wypuścić internowanych ze swej opieki. Trzeba było wprzód oddzielić ich od placu walki całą prowincją polską ogłoszoną w stanie wojennym, prowincją która niestety znalazła u siebie kilku takich, którzy w jej imieniu choć bez jej formalnego upoważnienia o ten stan wojenny prosili.

Biegły wolno dni jesieni i długie zimowe wieczory, przyszła wiosna razem z paragrafami uproszonego „Standrechtu," nie było obawy że uwolnieni będą cichaczem powracali do Galicji ażeby się dostać za kordon, można było ulżyć budżetowi i ulżono

Wyludniły się fortece austrjackie z Polaków, natomiast zaludniło się nimi Drezno.

Na wiosnę 1864 roku przechodzący ulicami starej stolicy królów, którzy przez czas pewien, w najsmutniejszej prawda epoce i naszej panowali ojczyźnie, byli świadkami jakby wskrzeszenia przedtysiącoletniej słowiańskiej przeszłości tego nadłabiańskiego kawała ziemi, której jedyną dziś pamiątką pozostały fatalnie przeinaczone, ale zawsze po słowiańsku dźwięczące nazwy okolic: Blasewitz, Loschwitz, Kötschenbroda i t. p. Na każdym kroku brzmiała mowa polska, na stutysięczną niespełna ówczesną ludność stolicy saskiej liczono do pięciu tysięcy Polaków, skazanych na przymusową bezczynność, daleko z natury ruchliwszych od miejscowych mieszkańców i mających wszystek czas do rozporządzania, a więc dziesięć razy widoczniejszych na ulicach miasta niż miejscowi pracą na chleb powszedni po domach zajęci.

W wiadomych wszystkim lokalach, w różnych punktach miasta, pełniły funkcje rozmaite komitety, stanowiące dalszy ciąg władzy narodowej tajemnej, której ognisko pozostało jeszcze w kraju, choć było tylko cieniem siebie samego. Tutaj zbierali się jenerałowie i pułkownicy powstania, pozbawieni pułków i oddziałów i układali plany wojenne, które się nigdy nie miały urzeczywistnić, tam schodzili się dyplomaci i głęboccy politycy i debatowali nad projektami wytargowania czegoś od Europy. W tem ognisku chwilowem emigracyjnego życia, centralizowała się na razie cała działalność z kraju wyparta, tam jeszcze organizowały się oddziały, tworzyły kadry i większa część bawiących tam a zdolnych do noszenia broni, pobierała żołd wojskowy, zostawała pod wojskową komendą, i była gotową na pierwsze hasło ruszyć na plac boju do walki.

Niestety! nie pomogła ani dyplomacja ani strategja, hasło nie zostało wydanem, a rząd saski pod naciskiem Moskali i Prusaków nie mógł długo udzielać gościnności przybyszom, których zbyt liczne nagromadzenie w jednem miejscu wydawało się państwom sąsiednim niebezpiecznem.

Przerzedziła się bardzo szybko kolonja polska w Dreźnie. Zdolnych do noszenia broni wydalono lub wydalili się sami do Szwajcarji, Belgji, Francji i Włoch, ognisko centralne Rządu narodowego przeniosło się do Paryża w osobie pełnomocnego komisarza, w nadelbiańskiem mieście pozostali tylko ludzie spokojni i pewni, to jest tacy, którzy wykazali że mają się z czego utrzymać, którzy mieli rodziny i których wiek albo odniesione rany nie kazały się obawiać, że się zechcą pokusić o obalenie nad Wisłą panowania moskiewskiego caratu.

Z tysięcy liczba emigrantów polskich w Dreźnie zredukowała się na setki, z tych setek od czasu do czasu wywożono po jednym na gęsto ciałami Polaków zaludniony cmentarz friedrichsztadzki...

W liczbie tych, którzy pozostali w Dreznie znajdowali się prawie wszyscy wyparci za granicę bohaterowie naszej powieści. Rząd saski, a raczej policja saska zaliczyła ich do spokojniejszych, niech nam wolno będzie powołać się na to jej świadectwo, żeśmy materjału do naszego opowiadania nie szukali pomiędzy najburzliwszymi, najbardziej awanturniczymi i krwi moskiewskiej chciwymi reprezentantami naszego społeczeństwa.

IX.

W dzielnicy angielskiej przy ulicy noszącej polskie nazwisko: Mosczinsky-Strasse, w pięknym w nowym guście wybudowanym domu, zajmował ładny apartament pan Artur, hrabia, wyraźnie hrabia Szóstacki. Tytuł hrabiego figurował wyraźnie na porcelanowej tablicy umieszczonej na drzwiach wchodowych do apartamentu, i wskazujących, że kto ma interes do „hrabiego" Szóstackiego, gdzie indziej dzwonić nie potrzebuje. Hrabią tytułowali pana Artura jego lokaje, „hrabia" stało na biletach wizytowych, nawet na kopertach listów pisanych do pana Artura przez jego szanownego rodzica czytać można było niekiedy „Graf" a niekiedy „comte," lecz zawsze jedno z tego dwojga.

Hrabstwo to swoje znalazł pan Artur Szóstacki po drodze z lasu pod Gradowcami, w którym go z oczu straciliśmy. Jaką drogą przybył do Drezna nie wiemy, dość że w drodze musiał się spotkać z jakimś monarchą, który go obdarzył tym tytułem za waleczność okazaną przez bohaterskie i wytrwałe zajmowanie kałuży podczas walki o niepodległość ojczyzny. Który to monarcha był tyle na pana Artura łaskaw, nie zapisała historja, trudno się nawet od nich dowiedzieć czy był europejskim czy azjatyckim mocarzem, to pewna, że pierwszym mężem, który o tej nobilitacji jeszcze przed redaktorami gotajskich almanachów otrzymał lubo trochę niedokładną wiadomość, był znany turystom całej Europy oberkelner hotelu Wiktorja w Dreźnie, który nosi francuskie imię François, co mu przecież nie przeszkadza nazywać się po niemiecku Pflaumenmuss i mówić nadsekwańskiem narzeczem tak biegle, że z nim każdy kto tylko umie po niemiecku rozmawiać woli...

Ow tedy znakomity François Pflaumen-

muss skoro tylko zobaczył pana Artura w oddanym swemu zarządowi hotelu, zaraz się zdradził że coś wie o nobilitacji jaka go w drodze spotkała i przemówił do niego:

— *Herr Baron!...*

— *Ich bin kein Baron!* — odpowiedział na to lekceważąco ex-kamerjunker.

— *Also Herr Graf!...* — poprawił się domyślny oberkelner i wskazał panu Arturowi przeznaczony dla niego pokój.

Pan Artur nie zaprotestował, snać nie chciał bawić w Dreznie *incognito*, wzruszył tylko ramionami, jakby na znak zdziwienia iż oberkelnerzy i zwykle kelnerzy zagraniczni pojąć nie mogą, żeby młody pan przybywający z Polski mógł nie mieć żadnego tytułu, i odtąd stało się publicznie wiadomem, że syn pana marszałka jest hrabią i że papuga jego ojca miała dar do pewnego stopnia proroczy, bo choć ojcu nie wywróżyła tytułu, to go wywróżyła synowi.

Nie była to zresztą wcale dziwna i wyjatkowa przygoda, że pan Artur przekroczywszy granicę zwykłym Szóstackim, ledwie przybył do Niemiec zaraz się w hrabiego zamienił. Zwykle się to zdarza przejeżdżającym Niemcy polskim zamożniejszym podróżnym, że ich ohrabiają i zarazem ograbiają w przejeździe. Tytuł taki nie dostaje się nigdy bez opłaty taksy, kto go chce otrzymać, musi płacić taksę podwójną za wszystko czego zażąda.

Na ulicy Moszczyńskiego zainstalował się pan Artur wyraźnie już jako hrabia, i hrabią podpisywał się zawsze. Podpisał się raz tak na liście do ojca, i poczciwy pan marszałek w Łaszczyńcach nie mało sobie głowy nałamał, który to z władzców udzielnych niemieckich, liczniejszych w owe czasy niż są teraz, poznał się na jego potomku i tytułem hrabskim go obdarzył.

Uznał jednak za stosowne pan marszałek zawiadomić o tym zaszczycie okoliczne obywatelstwo, nadmieniając, że nie wie jeszcze dobrze czy syn jego został hrabią księstwa Lippe-Schaumburg, czy też Sachsen-Altenburskim, co zresztą dla sąsiednich obywateli było zupełnie wszystko jedno.

Ciesząc się jednak głośno, ubolewał w duszy pan marszałek nad przewrotnym na tym świecie porządkiem.

— Gdy ojciec zostaje hrabią, — mówił do siebie, — to zaraz zostają hrabiami jego synowie, a hrabiankami jego córki, tymczasem gdy synowi dostanie się ten zaszczyt, to nie przechodzi on nigdy na rodziców. Jest to niesprawiedliwość wyraźna... gdybym ja był prawodawcą, tobym postanowił, żeby pod tym względem między rodzicami i dziećmi istniała najściślejsza wzajemność.

Po chwili myśl pana marszałka inny przybrała kierunek, chociaż się jakoś wcale nie mogła oddalić od tego synowskiego hrabstwa.

— I za co oni jego zrobili hrabią? — medytował — ja przecież tyle mam zasług, a nie dostąpiłem tego zaszczytu od naszego najjaśniejszego pana.... Ale co to zasługi urzędnicze!... tylko w dyplomacji dochodzi się do zaszczytów... ma rozum, że się dyplomacji poświęcił... żałuję żem ja tego w mej młodości nie zrobił. Jako dyplomata zapewne notyfikował księciu Renes-Schleitz, że księżna Lippe-Detmold raczyła wydać na świat bliźnięta... Kto taką notyfikację przywozi o jednem urodzonem książątku to dostaje order, a kto o bliźniętach, no, to już niezawodnie musi zostać hrabią.

A po chwili znowu nasunęło się panu marszałkowi co innego do zaprzątniętej tym zaszczytem głowy:

— Dla czego on mi jednak nie donosi, że został hrabią?...

Była to zagadka, nad której rozwiązaniem dłużej myśleć było potrzeba, ale bystry umysł pana marszałka i tę rozwiązał:

— Zapewne chce doświadczyć, czy się domyślę! No, to się przekona, że mi nie na dwóch ale na jednem słowie dość. Podpisał się hrabią, bo jest hrabią, resztę powinienem się dowiedzieć z gazet. Udajmy, jakbym się już wszystkiego dowiedział, i piszmy do niego tak jakby nigdy nic nie zaszło, a zaadresujmy „Monsieur le comte.“

To powiedziawszy, usiadł pan Szóstacki i napisał epistołę, na kopercie której z niedającem się opisać zadowoleniem położył wyrazy „Monsieur le comte Arthur de Szóstacki.“

Taką była geneza listów z tytułami, które pan Artur otrzymywał od swego rodzica.

Jeżeli kto kierując się napisem na porcelanowej tablicy zadzwonił do jego drzwi, drzwi te otwierały się po chwili, i przychodzącemu ukazywał swoje oblicze kamerdyner pana hrabiego.

Przychodzącym często był Polak, i ten zazwyczaj, zwłaszcza jeżeli pierwszy raz przychodził, przemawiał po polsku.

— Czy pan hrabia w domu?

— *Verstehe kein Wort polnisch* — odpowiadał służący i trzeba było zapytanie tłumaczyć na język niemiecki.

Lokaj ten był ciekawą może trochę dla naszych czytelników postacią.

Najprzód nie wyglądał wcale na lokaja wielkiego pana. Wielcy panowie zwykli sobie dobierać wielkich lokai, ten był maleńki. Oczy miał siwe, włosy opuściły już dawno swój przytułek na czaszce, i trzeba ją było pokryć peruką, żeby się mózg nie przeziębił; nos mały, cienko zakończony, wargi zaciśnięte, twarz blada i chuda, cała postać mizerna i gdyby nie pańska liberja wyglądałaby bardzo biednie. Gdyby nie peruka, która odmienny charakter nadawała jego fizjognomji, gdyby nie ta okoliczność, że był rodowitym Niemcem, że się nazywał Fritz Hahn, że nie mówił ani słowa po polsku, że nie zdawał się już zaraz na pierwszy rzut oka tak pobożnym i świętym, ktokolwiek znał Rafała Fajskiego w Kamieńcu, mógłby był przysiądz, że to Rafał Fajski. Głowę nawet miał tak samo pochyloną i oczy tak samo spuszczone zawsze jak tamten.

Było to jednak prawdopodobnie tylko przypadkowe podobieństwo, bo chociaż w Gradowcach Rafał Fajski kiedy go wyciągnięto z pod stołu, znajdował się w fatalnem niebezpieczeństwie, niebezpieczeństwo to jednak nie obezprzytomniło go tak, żeby miał aż zapomnieć swego języka i nazwiska.

Pan Artur bawił w Dreznie w charakterze dyplomaty. W chwili kiedy się powieścią naszą przenosimy do Drezna, nie było już co robić dyplomatom à la hrabia Szóstacki w usługach powstania, więc pan Artur nie ubiegał się już o misje Rządu Narodowego, któreby go mogły niepotrzebnie kompromitować przed rządem nienarodowym,— całą jego dyplomacją drezdeńską było to tylko, że bardzo zręcznie przed paszportowymi i arystokracją emigracyjną uchodził za paszportowca, przed pospólstwem zaś emigracyjnem za emigranta, z którego to tytułu nie uchylał się od dadków na potrzeby biednych emigrantów.

Czy był rzeczywiście paszportowcem czy emigrantem o tem wiedział tylko specjalny komisarz zajmujący się emigrantami w Dreznie. Ten wiedzieć musiał, nie tylko dlatego, że był komisarzem, którego obowiązkiem było wiedzieć o wszystkiem co się w kolonji emigracyjnej działo, ale dlatego także, że Fritz Hahn, lokaj pana hrabiego znał doskonale drogę prowadzącą *hinter die Frauen-Kirche*, gdzie się mieszczą biura policji.

Bywał on tam raz, dwa, czasem trzy na dzień, w swoich czy w pana swego interesach nie wiadomo; ale nikogo to nie dziwiło, był przecież Niemcem i ani słowa po polsku nie rozumiał, choćby też płacę pobieraną od hrabiego uzupełniał sobie donosicielstwem, to cóż mógł donieść nic nie rozumiejąc — nikt nie śledził jego kroków, a choćby się kto domyślił częstych jego wizyt w biurze policyjnem jeszcze i tak do wystrzegania się przed nim z rzeczami mówionemi po polsku nie byłoby najmniejszego powodu.

Przytem Fritz Hahn, choć nie wyglądał tak pobożnie jak Rafał Fajski, miał fizjognomję poczciwą i nie godziło się posądzać go o przeniewierstwo. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Najważniejszemi figurami dramatu, nad którym obecnie zastanowić się mamy, są król Popiel i kmieć Piast. Od nich otrzymał nasz utwór swą nazwę. Obie owe postacie reprezentują namnaczelnych przedstawicieli dwóch przeciwnych sobie kierunków w owoczesnym ustroju narodu, a raczej w przejściowej jego dobie od gminowładztwa rozbitego na drobne społeczeńskie cząstki, do silniejszej organizacji, już nie gminnej ale państwowej. Około tych pierwszorzędnych typow: króla, dążącego do stworzenia absolutnej, narodowi naszemu nieznanej i wstrętnej jedynowładzy, a kmiecia, stojącego twardo w obronie starych praw ludu, grupują się inne liczne postacie, bądź jako żywioły wspierające walkę tych dwóch głównych potęg, bądź wreszcie jako czynniki, z któremi jedna lub druga strona w działaniu swojem liczyć się koniecznie musi.

Prastara, odwieczna forma udzielnego wła-

*

dania gminu to „wiec“ słowiański, dla energicznego, rzutkiego i śmiałego Popiela pierwsza i najwalniejsza zapora w osiągnięciu zamierzonego celu. Łatwo odgadnąć, że „młodego zapaleńca“ uchylającego wiece czeka w dalszej drodze sta nowcza a trudna walka z ludem, nie porywczym wprawdzie do gwałtownych czynów, ale przecież silnie i wytrwale stojącym przy tradycyjnych swoich prawach. Nie jedyna to wszakże kolizja. Popiel ma nadto jeszcze do czynienia z własnymi stryjami, zawistnymi jego panowaniu, tudzież z wrogim Słowiańszczyźnie żywiołem germańskim, który pod godłem krzyża straszny swój miecz wiódł we wschodnich ludów dziedziny. Ten rozkładowy i niszczący element reprezentowany jest nawet na dworze Popiela, a to w osobie samej królowej, Niemki z rodu, i jej kapelana. Domowe wpływy, zdaje się, uformowały i wykształciły w głównym bohatyrze owe gwałtowniejsze popędy, których ostatecznym wynikiem — tragiczne życia rozwiązanie.

Na tle tak zarysowanych stosunków wzniesiona cała budowa dramatu. Już w pierwszych scenach widzimy zręcznie zawiązane wszelkie węzły dramatycznego działania, a ekspozycja sztuki nie pozostawiająca prawie nic do życzenia budzi interes w wysokim stopniu. Odjęcie wiecu ludowi jest faktem dokonanym i spotykamy się z nim jako takim zaraz na początku.

Więc wiecom koniec, a król odtąd głową!

są słowa Popiela do zgromadzonych, między którymi widać także i kmieci. Wola królewska to jednak jeszcze nie bezwarunkowe zwycięstwo nad uświęconym wiekami zwyczajem. Wynikające stąd zarzewie wielkiej kolizji maluje się w spokojnem lecz stanowczem postanowieniu ludu utrzymania praw swoich, a gotowość znacznej części rycerstwa do popierania praw kmiecych każe się spodziewać nie małych zawikłań.

Właściwa akcja rozpoczyna się od przybycia na dwór Popielów wysłannika wojowanych Zaodrzan, tudzież posłów niemieckich.

Żóraw przychodzi do rycerskiego władcy nadgoplańskiego narodu z błaganiem pomocy przeciw ciemięzcom. Nie wiedząc, jak go Popiel przyjmie, bo ni kniaziem jest, ni panem, ni wodzem, wzywa bogów, by temu królowi, którego pierś może „zimnem opasana,“ wskrzesiły w sercu „głos litości“; zresztą

Za mnie narodu mego krew i jęki
Będą przemawiać....

Przejmującą jest skarga mordowanego plemienia:

Lud nasz wycięty od zaborczej broni,
We więzach starce, zbezczeszczone progi,
U mogił jęki, w polach wrzask pogoni.
— — — — — — — — —
Gdzie jeno spojrzysz, tam krew lub łza płynie.
— — — — — — — — —
Syn rzuca matkę, ojciec dziatki lube,
Wieszczek gaj święty i objętne zgliszcza,
I lecą na bój — królu, na zagubę,
Bo nie ratuje nas bój, lecz wyniszcza....

Wodzowie ludu jedni polegli w walkach, drudzy schwytani w płomieniach skończyli żywot; kniazie złożyli hołd i dali się ochrzcić. Okropna to niedola nękanych, którzy przecież karków pod jarzmo poddać nie chcą, i tylko jeszcze w Popielu widzą swe zbawienie. Słowa Żórawia mocne na królu uczyniły wrażenie. W miarę jak słuchał tych skarg, to się oburzał, to litował; w końcu zakrył twarz nie mogąc łez wstrzymać; co widząc Zaodrzanin rzekł:

Ty płaczesz? Królu! tam u nas kamienie
Płaczą.... O królu! ty mnie łez nie dawaj!
Jam tu do ciebie przyszedł po zbawienie,
Po miecz twój, wrogom straszny....

Ten miecz swój przysięga Popiel przynieść ciemiężonym w pomście ich krzywd, ale żąda ludzi gotowych umrzeć i wstać na skinienie, posłusznych jego woli „jako żelazo młotowi.“ Żóraw przyrzeka dać mu takich bojowników, a dostarczy ich cały naród silny rozpaczą, któremu

.............wszystko jedno,
Żyć lub w mogiłę położyć się biedną.

Popiel rozkazuje zatem otrąbić wyprawę, a wysłannik z Zaodrza odchodzi pełen otuchy.

Tymczasem przenosi się akcja do komnat pałacu. Za biesiadnym stołem widzimy czterech stryjów Popiela i kilku dostojniejszych rycerzy. Przybyli oni w odwidziny do króla, a postrzegłszy, że z powodu wieców poważniony jest z kmieciami, postanawiają z tego rozterku skorzystać dla siebie.

Ten hardy Popiel jak owoc dojrzały —
Trzeba go zerwać, nim spadnie na głowy

mówi Zbigniew do Przemysława i Wyżymira. Tu zawiązany tedy misternie jeden z dalszych węzłów dramatycznej kolizji i występuje przed widzem na jaw antagonizm najbliższych krewnych głównego bohatyra tragedji. Scena ta i z innych jeszcze względów niezmiernie jest ważną. Oto odsłaniają się nam niektóre rysy ciekawego ze wszech miar charakteru żony Popielowej, Adeli. Dumna Niemka zżyma się, gdy mąż ją wzywa, aby i staremu harfiarzowi nalała czarę: pełna niechęci mówi do siebie:

Królowa dziady obsługuje stare...

a do Sępa, podając mu napój, powiada głośno nie bez ironji:

.........słuchać musim króla
I ty dziad z harfą, i ja twa królowa!

Jeszcze lepiej uwydatnia się usposobienie Adeli w słowach również do siebie wyrzeczonych, a to na widok stryja, Władysława, jedynego z pomiędzy przybyłych, który dobrze życzył królowi:

Ten widzę przybył uczyć go miłości,
Ale daremnie przy mnie ją zasiewa!..

Łatwo stąd odgadnąć demoniczną naturę tej kobiety-intrygantki, która też w takiej roli niebawem jawnie występuje. Kiedy bowiem po oddaleniu się gości z zamku pozostała sama z mężem, usiłuje go nasamprzód wszelkiemi sposobami odwieść od zamierzonej wojny w obronie Zaodrza; a gdy się to nie powiodło, wznieca w duszy Popiela obawę przed knowaniami stryjów, których podsłuchała, i będących z nimi w sojuszu rycerzy; wreszcie — a to już najmocniejsze światło rzuca na czarną jej duszę — nie waha się własnego małżonka, udzielnego dotąd króla, nakłaniać do przyjęcia niemieckiego wassalstwa. Silną też w niej mają podporę przybyli na dwór Popielów posłowie niemieccy Harten i Giese.

Jam nie z tych kobiet, którym za świat stanie
Mąż, gdy rodzinę opuszcza dla męża;

powiada bez ogródki do szukających jej pomocy wysłanników „króla Franków, Renu i Dunaju“. Ale Popiel nie chce słyszeć o „zaszczytnej przyjaźni“ z tym sąsiadem, zwłaszcza na podstawie takich warunków, jak hołd złożony zachodniemu monarsze choćby tylko z powodu jego „starszeństwa“. Nadaremnie wkłada mu Adela na ramiona płaszcz szkarłatny „ręką cudnych dziewic tkany“, nadaremnie podaje miecz, dary pana Franków. Popiel oglądając purpurę, woła:

.... O! przepuśćcie bogi,
Sukno to pewnie w krwi Zaodrzan prane;

a usłyszawszy o wassalstwie, rzuca dary ofiarowane posłom pod nogi, ich zaś samych precz od siebie wygania. Takim sposobem odwrócenie wojny z Niemcami zarówno jak zhołdowanie Popiela udaremnionem zostało — a poeta uwydatniwszy nietylko dążenie indywidualne swego bohatyra, lecz zarazem także przeciwne prądy, z któremi temuż walczyć przypadnie, w akcie drugim wprowadza go już we właściwą czynną akcyę.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje jeszcze ów pierwszy czynnik, z którym w przeprowadzeniu swych planów liczyć się musiał koniecznie król Popiel: lud domagający się przywrócenia uchylonego swego prawa. Głową tego stronnictwa jest Piast „bogom miły“, a znajduje ono swych gorących zwolenników także w najbliższem otoczeniu Popiela. Matka króla Bożenna i siostra jego Kalina, osoby najbliższe Popielowemu sercu, sprzyjają kmieciom, a syn Piasta Ziemowit kocha się w siostrze królewskiej nie bez wzajemności. Sam tedy tylko Popiel namowami żony i przykładem obcym spowodowany, odstrychnął się od rodzinnych uczuć słowiańskich i postanowił urzeczywistniać cele prawda odpowiadające energicznej i ognistej jego duszy, ale zupełnie niezgodne z intencjami i tradycyą narodu. Bożenna w przywidywaniu smutnych zajść z tych zachceń syna wyniknąć mających, przepowiada nawet zły koniec całemu rodowi:

Śniłam, że duchy snuły się po ziemi
Jęcząc. Nad Gopłem jam siedziała smętna,
A woda była szumiąca i mętna;
Cała zaś nasza Lechowa rodzina
Szła po tej wodzie obok mego syna
Ku mnie. Na królu były znaki krwawe,
Z niebios słyszałam przekleństwa i wrzawę,
A ci śród wrzawy po tej mętnej fali
Szli, i w ciemnoście jęcząc upadali;
A potem upadł Popiel —

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Jednak mglistość słów, zagadkowość ich i owe niekonsekwencje, o których uczyniliśmy wzmiankę sprawiły, że emigracja w przeważnej części zupełnie obojętne, albo odporne względem Towiańskiego na razie zajęła stanowisko. Mickiewicz atoli z entuzjazmem sobie właściwym, oddał się tej sprawie, pozrywał dotychczasowe

swoje stosunki z osobami, które ugiąć się nie chciały przed misją Towiańskiego, a nowe zawiązywał z tymi, co skorzy dawali posłuch jego agitacji. Zapowiadał poeta wszędzie, że „idzie mąż przeznaczenia, który narody uciśnione, a najprzód Polaków i Żydów wydźwignie z toni, że nastąpi to tak prędko, że jeszcze starcy nasi, między innymi jenerał Kniaziewicz ojczyzny wolnej doczekają, że na całym świecie będzie odtąd za sprawą onego męża panowała sprawiedliwość i t. d.*).“

W kilka tygodni po swem przemówieniu w katedrze, wydrukował Towiański i rozesłał emigrantom zawiadomienie, iż w kościele św. Seweryna w Paryżu znajdować się będzie obraz M. B. Ostrobramskiej, która „że szczególnej łaski swej dla emigracji“ okaże się jej w onym kościele. Wzywa więc, aby na nabożeństwo 8go grudnia 1841 odbyć się tam mające, spieszono w oczekiwaniu „wielkiej godziny,“ gdyż „czas jasnem i pojętem każdemu uczyni, co Pan dotąd w ukryciu trzyma.“ Wezwanie to całe ułożone na kształt wyroczni: *ibis redibis non*, bo widocznie użył tu Towiański dwuznacznego tłumaczenia rzeczy, dając do myślenia, że oryginalny obraz cudownej M. B. Ostrobramskiej w sposób jakiś nadzwyczajny znajdzie się w kościele; była to zaś kopja, przez Wańkowicza dokonana, stalorytem rozpowszechniona.

Nie chcemy tu posądzać Towiańskiego o zupełną nieszczerość postępowania, o udaną cześć dla N. Marji Panny, ale mimowoli tłoczy się pod pióro uwaga, że ów wiersz Dziadów „on szanował imię Twojej Rodzicielki,“ odnoszący się do Konrada, posłużył Towiańskiemu za pobudkę do urządzenia owego nabożeństwa. Mickiewicz miał szczególną cześć dla Matki Boskiej, więc może to dla zadosyć uczynienia tej jego nabożnej skłonności, dla wykazania najzupełniejszej zgodności swego zjawienia się z tem wszystkiem, co w Dziadach napisano, wystąpił Towiański z owym obrazem w kościele św. Seweryna. Zresztą i to miał zapewne na względzie, że w ogóle w sercach polskich katolickich, choćby ostudzonych nawet dla niektórych formalności religji, cześć dla „Królowej Polski,“ głęboko się rozrosła i przeszła prawie w jedną z cech charakteru narodowego naszego. Należało mu więc skorzystać z tego, aby tym sposobem tem łacniej zyskać sobie zaufanie emigracji.

Tymczasem przybył dr. Gut do Paryża, by pomagać mistrzowi, a Towiański wszelkich sił dokładał, aby skompletować symboliczną liczbę 44 uczniów czy towarzyszy. Rzecz nie była trudną, bo imię Mickiewicza i poważnym było i ponętnym sztandarem, około którego gromadzić się też poczęto coraz liczniej tak — że ta liczba skompletowała się prędko. Znaleźli się wnet w tej gromadzie: Seweryn Goszczyński, Juliusz Słowacki, Ludwik Nabielak, Leonard Rettel, Karol Różycki itd. Nauka Towiańskiego nazywała się między nimi: S p r a w ą, oni zwali się b r a ć m i, a Towiańskiego tytułowali; m i s t r z e m. Towiański zaś sam mienił się: M i s t r z e m B o ż y c h M o c y, Mickiewicza mianował: W o d z e m s ł o w a, a K. Różyckiego: W o d z e m Z i e m i.*)

U Mickiewicza odbywały się niedzielne schadzki towarzyszy, gdzie rozprawiano o podjętych przez doktrynę celach, a przeważnie słuchano długich wywodów Towiańskiego, który rzecz w „Biesiadzie“ zawartą, bezustannie na jeden i ten sam sposób omawiał. Na te posiedzenia wprowadzano nowych adeptów, zaciągających się do falangi. Towiański miewał podobno zwyczaj ukrywać się w przyległym pokoju i nagle zjawiać się przed nowo zaciężnym w chwili, gdy tenże najmniej się tego spodziewał i na spotkanie się tak nagłe, niespodziane z mistrzem, nie był wcale przygotowanym.

W ciągu kilku miesięcy bezustannie powtarzał Towiański, że się zbliża godzina wielkich wypadków, że działać potrzeba, że nastała epoka czynów itp. a nigdy i niczem nie wyjaśnił j a k działać i j a k i e należy podejmować czyny, nigdy nie wskazał drogi, jaką te czyny i działania prowadzić się winno. Ogólniki bałamutne a jednostajne powtarzały się jedne po drugich, i Mickiewicz także nie wyjaśnił rzeczy, ale genjalnemi słowy porywał, czarował, w zdumienie wprowadzał — i przezeń tylko nabierał Towiański większego znaczenia, a jego nauka większej doniosłości — niż im to po słuszności należało. Na posiedzeniu Towarzystwa literackiego polskiego 3go maja 1842 zebranem, powiada Mickiewicz pełen uniesienia, że czasy się spełniły, że wybawienie jest bliskiem, bo

„Staję tu na świadectwo między wami, że przyszło wielkie miłosierdzie Boże; przyszedł czas zmartwychwstania ojczyzny;“

a dalej mówi, że posłannik boży już jest wśród narodu i emigracji.

„Powtórzę wam z apostołem mówiącym do żydów: czekaliście Mesjasza, a Mesjasz był między wami “

Przyznaje też, że jest wieszczem, skoro przeczuł i przewidział Towiańskiego, lecz powiada zarazem, że każdy nim być może, kto „czuje,“ kto czuciem wznosi się w natchnienie; a tak należy „wyrobić swojego ducha, żeby jego natchnienie było czynem.... natchnienie musi być czynem, a czyn natchnieniem.“ Ale jakie to być mają czyny, jak i do czego podjęte, jak ma się formułować działalność — o tem wszystkiem nie ma tam mowy*).

Przemówienie to umieścił „Dziennik narodowy“ z 7go maja 1842, dodając w uwadze między innemi te słowa: „Głos ten wielkiego natchnienia, wylany jednym ciągiem z potężną siłą słowa...“ — co dowodzi i silnej wiary Mickiewicza w słuszną sprawę doktryny, i wrażenia, jakie jego słowa wywierały.

Sprawa Towiańskiego, jakkolwiek obracająca się jedynie w kółkach emigracji, nie mogła i nie chciała nawet być tajną. Wszystkie te zapędy apostolskie doszły do wiadomości duchowieństwa francuskiego i policji. W październiku 1842 podali księża Zmartwychwstańcy arcybiskupowi paryskiemu memorjał w sprawie Towiańszczyzny, ułożony według wskazówek księdza Semeneńki. W r. 1843 już z kazalnic upominali przed nauką Towiańskiego, przez co do scen gorszących przychodzić miało w kościele. Ze swojej strony Towiańczycy nie przestawali Zmartwychwstańców ku sobie nakłaniać.*)

Policja dość była czujną względem emigracji, a prawdziwie zaniepokojoną została, gdy po nagłej śmierci ks. Orleańskiego 13go lipca 1842 rozgłaszać poczęli Towiańczycy, że pan Andrzej wypadek ten przepowiedział. Policja upatrywała w tej przepowiedni, jakby przyznanie się do związków z klubami komunistów i socjalistów, których o zamach na następcę tronu posądzano, mimo — że jak wiadomo jedynie nieszczęśliwy przypadek pozbawił go życia. Skutkiem tego wyszedł rozkaz ministerjalny, skazujący Towiańskiego na opuszczenie Francji. Towiański wyjechał do Brukseli, a tymczasem zastęp jego wystosował 7go sierpnia 1844 pismo do ministra, w którem mieści się odparcie posądzeń wszelkich i obrona mistrza. W piśmie tem dają podpisani świadectwo „czystości zamiarów i postępków Towiańskiego“ i wyznają „że przyniósł słowo prawdy i żywota“ i „że przejednał ich z Bogiem,“ że go „złość zawzięcie ścigała.“ Akt ten podpisało 43 mężczyzn i 2 kobiety, czyli cała symboliczna liczba: 44, jeżeli do 43 mężczyzn dodamy samego Towiańskiego. Kobiety osobną stanowiły grupę*). (C. d. n.)

*) Witwicki Towiańszczyzna i t. d. Paryż 1844.

*) Moje stosunki z Towiańskim i Towiańczykami przez *** (Kołosowskiego). Paryż 1856.

*) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 193—195.

**) Przegląd poznański T. XXV. r. 1858 str. 172.

*) Witwicki Towiańszczyzna i t. p. w anneksach.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Teraz kilka słów o białym słoniu. Każdy na wspomnienie białego słonia stara się zdać sobie sprawę z tego zjawiska natury. Ileż to bajek nie wymyślono, ileż mylnych podań krąży o tym przedstawicielu rodzaju gruboskórnych. Naszem staraniem będzie sprostować fakta i ukazać je we właściwem świetle, bez przesady ani pedanterji.

Mówiąc żem widział słonia białego, posiłkuję się utartym wyrazem, gdyż słoń biały w całem znaczeniu tego słowa nie istnieje — barwa jego nie jest białą lecz szarą, a gdzie podróżnicy widzieli okaz taki by go mogli porównać do albinosa, tego nie mogę pojąć.

Przedstawmy sobie raczej gumę nieczystą, rozpuszczoną w wodzie, pak szewski pokryty kurzem, stary ser z wierzchu, a te wszystkie cienie zmięszane razem dadzą nam dopiero barwę bez nazwy, jaką się odznacza słoń, niewłaściwie przezwany białym. Jest on raczej brudno szary a do tego gdy dodamy miejsca sine, czasem czerwonawe, ze skórą popękaną lub łuszczącą się, będziemy mieli dokompletowanie jego powierzchowności. Wedle mnie ten kolor szary przypadkowo pojawiający się, jest stanem chorobliwym całego organizmu, i jakkolwiek dziwnem może się wydać z początku takie twierdzenie, jest ono oparte na szczegółowych badaniach i kilkakrotnie robionych porównaniach.

Słoń biały stanowi rzadkość w swoim rodzaju, wybryk natury, a nie osobny gatunek, i dla tego król siamski ma ich jedynie pięć czy sześć a cesarz Birmanji jednego tylko lecz za to monstrualnych rozmiarów. Od sześćdziesięciu lat piastuje on godność fetyszy na dworze Yasy. Minister na małą stopę zawiaduje jego dochodami, a ponieważ nie może gdzieindziej przebywać jak w stolicy, więc gdy tę przenoszono z Tsagain do Avy, z Avy do Arampura, z Arampura do Mandelay, każdym razem musiano mu nowy stawiać pałac. Słoń biały jest przedstawicielem wszelakiej wyższości czy to cywilnej, wojskowej lub religijnej, i nikt inny tylko sam cesarz może

sobie nad nim rościć prawo. Niech przypadkiem biały słoń wyzionie ducha nim mu znajdą następcę, a niebezpieczeństwo niechybnie zawiśnie nad panującą rodziną, nad krajem zaś sroży się klęska, zaraza, powódź, głód, trzęsienie ziemi. Każdy zatem urzędnik państwa jest obowiązanym mieć baczne oko, i zawiadomić natychmiast wyższe władze, jeżeli poweźmie wieść o istnieniu gdzieś białego słonia. Można sobie wyobrazić, jak w takiej sprawie gorliwymi są ci panowie bacząc na rzadkość okazu; ten, któremu uda się złowić skarb tak niepospolity, ma w ręku gotową fortunę.

Przed trzydziestu laty poprzednik dziś panującego cesarza, Yasa Phagan-Mheng, w chęci utrzymania kwitnącego stanu swego państwa wygłosił następującą mowę: — „Pierwszym obowiązkiem monarchy jest czuwać nad powodzeniem swojego kraju, osobiste interesa następują dopiero później. Otóż dla tego trzeba mieć wszystko na uwadze i starać się zająć wyobraźnię, rozbudzając od czasu do czasu wiarę jednem z tych wielkich widowisk ceremonij religijnych, gdzie wspaniałość obrzędu wraża się w umysł i wzrok zachwyca. Mój lud nudząc się umiera powolnie... Ni wojny, ni cholery, ni pożarów; żadne wzburzenia geologiczne nie wstrząsają naszą ziemią. Jednem słowem, stan jest rozpaczliwy, bo mamy ciągły pokój. Jakby tu rozerwać ten dobry lud? Posłałbym deputacje do wyspy Ceylan, aby od szanownego przełożonego klasztoru, w którym zamieszkiwał niegdyś nasz wielki Gaudama, dostać jedyny ząb uznany autentycznie za ząb błogosławionego zesłańca... niestety, za tę świętą relikwję żądają strasznej sumy, a przytem jeszcze koszta podróży.... Jaka szkoda!.. Mielibyśmy śliczną ceremonję. Przybytek z relikwią przeszedłby procesją nasze państwo, ludność zbierałaby się tłumami po drodze, z obu brzegów Irawady możnaby widzieć pochód darmo. Kiedy stan naszych finansów nie pozwala nam sprawić ukochanemu ludowi tego świetnego widowiska, szukajmy czego innego... Myśl ta jednak pozostanie mi zawsze na sercu, i gdy przyjdzie czas pewnie ją uskutecznimy... A teraz jest jeszcze jedna ważna kwestia. Nasz wielebny *Shen-Meng* (wielmożny słoń) zaczyna się starzeć, jest słabowity, potomka nie ma żadnego i mieć już zapewne nie będzie... Mimo naszych starań nie zdołaliśmy znaleść mu następcy. Smutna przepowiednia! Komu, czy naszej dynastji czy państwu grozi niebezpieczeństwo? — Gorliwość *ponguysów* (księży), ambicja moich bliskich krewnych, wzbudza we mnie obawę, czy korzystając z tej okoliczności nie pociągną narodu do powstania. Rzecz wydaje mi się naglącą, trzeba złemu spiesznie zaradzić. Udajmy się do *haulot-dauh*.“ (wielka rada cesarska).

Ministrowie, radcy stanu, wszyscy wyżsi urzędnicy cywilni wojskowi i religijni, zostali zwołani na wielką naradę. Między nimi nie wiem już dobrze z jakiej racji figurowała pewna ciekawa osobistość, warta bliskiego poznania. Nazwiskiem Ma-Calder, na pół Hiszpan na pół Ormianin, był człowiekiem sławnym z lekkomyślności, rozrzutnikiem jakich mało, niegdyś zajmował kilka dość znacznych stanowisk, i z tej czy z owej przyczyny zawsze wywiązywał się jak najgorzej ze swego urzędu. Za każdym takim niefortunnym krokiem popadał w niełaskę, co jednak nigdy długo nie trwała i po paru upadnięciach do nóg swemu władcy, znowu na wierzch wypływał.

Liczne narzecza Indyj, Indo-Chin i Malezji były mu dobrze znane, posiadał gruntownie *pahli*, język mistyczny kraju, a w młodości zwidził handlując wszystkie porty Indyj i Chin. W czasie kiedy Anglicy nagłym napadem zdobyli Bangun w 1826 roku, był on komendantem portu, a raczej naczelnikiem komory, najczynniejszej w całem cesarstwie. Powierzchowność jego od znaczała się dystynkcją właściwą Portugalczykom. Ruchy miał pełne pańskości, w ubiorze przeważał zawsze czarny kolor, a białość bielizny odbijała kontrastem śnieżnej barwy od ciemno oliwkowatej cery. Wzrok przenikliwy, wyraz twarzy poważny, zamyślony, nadawały mu pozór surowego ascety; pod tą powierzchownością kryła się jednak ognista dusza. Namiętnością przeważną były u niego kobiety; rzadko znaleść takiego konsumenta. Na równi z Sinobrodym, miał siedm żon: jednę Portugalkę jednę Ormiankę, a pięć Birmanek. Prawne dzieci w liczbie dwudziestu i coś tam, były wychowywane przez rodziny właściwych matek. Kiedym go poznał w roku 1859, miał lat 60; zaledwie bym mu dał pięćdziesiąt, tak był rzeźki i czynny w interesach. Siódma jego żona, Birmanka, właśnie co powiła mu syna; malec jak dwie krople wody był podobny do ojca, z wybitną cechą mięszanej rasy.

Ma-Calder w ruchach poważny, powierzchowności pełnej spokoju, posiadał wymowę niepospolitą. Z zadziwiającą zręcznością umiał się wkręcić w łaski wszystkich, był przytem intrygantem z professji, krętaczem znakomitym, nigdy nie tracił przytomności, a że był niezrównanie czelnym, więc miał na zawołanie tysiące sposobów wyjścia. Przez lat czterdzieści umiał się utrzymać w poufałych stosunkach z czterma cesarzami. Nadzwyczajny fawor jakim go obdarzano, przypisać trzeba chyba służalstwu i pochlebstwu, biorąc w rachunek próżność i łatwowierną głupotę monarchów, co z osłupieniem przysłuchiwali się niezrównanym bredniom, jakie im prawił z właściwą sobie niezwruszoną powagą. Upadał im do nóg z pokorą, wynosił pod niebiosa w słowach szczerych i naturalnych ich wielkość i wspaniałość, za każdem ze swej strony przekroczeniem okazywał tak wielką skruchę i żal, iż nie był w stanie wypełnić rozkazów swojego władcy, przez co zasłużył na jego niełaskę, że monarcha rozrzewniony tą boleścią zawsze przebaczał winowajcy. Zaledwie przypuszczony do łask, rozpoczynał na nowo swoje sztuczki.

Ma-Calder był zatem przywołany na wielką radę z okazji starzejącego się słonia. Zaledwie usłyszał o co rzecz idzie, oświadczył, iż jeden z jego korespondentów z Maulmein, stolicy Tessarim, prowincji angielskiej graniczącej z Pegu i Siamem, zawiadomił go o istnieniu białego słonia, którego miano nadzieję spieniężyć korzystnie prowadząc go do Bankuk. Następnie zakończył mowę ofiarując się kupić i dostawić święte zwierzę.

Trudno by opisać wrażenie jakie na całem zgromadzeniu zrobiła ta niespodziewana wiadomość; szczególniej sam cesarz Paghan-Mheng był nią do głębi wzruszony. Pozbawić słonia państwo Siamskie na korzyść Birmanji, zmieść im z przed nosa tego przedstawiciela łask niebieskich, nie byłoż to wielkiem dziełem! Niektórzy radcy chcieli wprawdzie przypomnieć, że Ma-Calder nie był wiarogodnym człowiekiem, ale przezorność zamknęła im usta, sam tylko minister finansów ośmielił się zrobić niejakie uwagi z powodu kosztów, których wymagać będzie takie przedsięwzięcie, zagłuszony atoli mowami tatbana-paing, tsaya-dauh i paru tsay'ow kolejno zabierających głos dla poparcia wniosku Ma-Caldera, umilkł i koniec końców tenże został upoważniony do rozpoczęcia tajemnych kroków, w celu dostania słonia.

W miesiąc później Ma-Calder przedłożył list świeżo odebrany od swego korespondenta, potwierdzający słowo w słowo wiadomość której swego czasu radzie udzielił. Cesarz uszczęśliwiony rozkazał mu natychmiast udać się w podróż i by żadne przeszkody nie stanęły mu w drodze, uproszczając środki dopięcia celu kazał wyliczyć mu sumę 100.000 rupij, około 250.000 franków.

We dwa miesiące Ma-Calder zawiadamiał z Rangun, iż wypływa z portu ze swoją świtą do Maulmein, i że wiadomości o zdrowiu Shen-Mheng były zadowalające.

W trzy miesiące potem przyszedł list z Maulmein w którym Ma-Calder donosi, iż targ odbył się nad wszelki wyraz dobrze, a że nic już nie stoi na przeszkodzie odpłynie więc pierwszym statkiem udającym się do Rangun.

Czwartego miesiąca pierwszy minister Mangue-Menguy dostaje pismo datowane z Kalkuty, z którego dowiaduje się, iż statek niosący białego słonia w walce z niesłychaną burzą został wyrzucony na brzeg Bengalu przy ujściu rzeki Hugly. „Pomimo że jego książęca mość — tak dalej list opiewał — był trochę umęczony straszną katastrofą, zdrowie jego nieprzedstawia jednakże żadnej obawy, i dozwoliwszy mu wypocząć ze dwa tygodnie, można by nająć duży statek z wszelkiemi wygodami do dalszej podróży; ale ponieważ pieniądze wszystkie wyszły trzeba czekać dopóki Jego cesarska Mość nie zechce przysłać na koszta powrotu.“

W pięć miesięcy cesarz otrzymał telegram, zawiadamiający o otrzymanej sumie 100 000 rupij za pośrednictwem bankiera z Kalkuty zostającego w stosunkach pieniężnych z pełnomocnikiem J. C. M. w Rangun. Wprawdzie wielka była strata na zmianie pieniędzy, koszta przesyłki i tym podobne opłaty pochłonęły także nie mało, ale z tem wszystkiem rzeczy stały jak najlepiej, jego książęca mość był w pełnem zdrowiu i miano nadzieję, że wkrótce stanie na ziemi Birmańskiej i odbędzie tryumfalny swój wjazd do stolicy.

Sześć miesięcy później — co za nieszczęście! dwór przywdział żałobę! Anglicy przez zazdrość, bojaźń i zemstę, struli jego książęcą mość słonia białego, ponieważ gdyby był stanął na ziemi birmańskiej sprowadzając na nią wszystkie błogosławieństwa nieba, władzy angielskiej w Indjach groziłby upadek, gdyż jest powiedziane, że cześć wygnania cudzoziemców z kontynentu azjatyckiego spłynie na Birmanów...

W półtora roku po otwarciu pierwszych rokowań o słonia, Ma-Colder leżał u nóg cesarza bijąc czoło z pokorą o stopnie jego tronu. Wyrzuciwszy powódź złorzeczeń na Anglików, na ich złość i podstęp, ulżywszy żalowi swemu potokiem łez i wykrzykników nad stratą świętego słonia, miał jeszcze tyle bezczelności, by ofiarować swemu monarsze zbiór starych gratów jako to: walcownie z wybitemi zębami, fortepjan z czasów Ludwika XV, zegar grający który oniemiał ze starości, dagereotyp którego nikt nie mógł ustawić, karabin amerykański o 70 strzałach, z których pierwszy byłby niechybnie zabił strzelającego, i tym podobne starożytności

nabyte za małą cenę u kramarza z Kalkuty a które on podawał jako nader cenne arcydzieła... Wszyscy spodziewali się tym razem zasłużonej kary na oszusta, ale gdzie tam! Łzy, lamentujące pokorne zaklęcia, porywająca mowa pełna żalu i pochlebstwa, udobruchały cesarza do tego stopnia, że sam zaczął nad nim ubolewać.

Koniec końców słonia nie było, a Ma Calder nie dość, że sobie zaszydził z cesarza, ministrów i całej rady, w dodatku roztrwonił jeszcze 600,000 fr. z pieniędzy skarbu, który i tak już był w wielkiej potrzebie.

Od tego czasu gwiazda jego zaczęła się chylić ku zachodowi. Jakem go poznał, uganiał się już tylko za marami, i żył prawie w nędzy. Teraźniejszy cesarz przez uczucie ludzkości wspiera go jałmużną i za każdą audjencją obdarowuje wsparciem jego liczną rodzinę.

Powracając do słonia białego, widziałem w Mandelay pałac jego książęcej mości *Schen-Mhenga,* jego oficerów, służbę, dozorców, żłób złoty, czaprak lśniący, rodzaj tiary wysadzonej kamieniami, którą mu kładą na głowę podczas wielkich uroczystości, jego bogate parasole, hak zdobny w djamenty i rubiny, niby berło, którym go kieruje służący, jednem słowem cały przepych bałbochwalczej czeźci. Im więcej wzrok mój był olśniony bogatem otoczeniem, tem przykrzejszego doznawałem wrażenia. Co za głupota, by do tego stopnia poniewierać oznaki godności i upokarzać siebie... (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział XVII.

(Ciąg dalszy.)

(Ostatnie godziny kapitana Nemo. — Rozporządzenia umierającego. — Pamiątka dla przyjaciół jednodziennych. — Grobowiec kapitana Nemo. — Kilka rad dla osadników. — Ostatnia chwila. — W głębi morza.)

Tymczasem dzień zaświtał. Najmniejszy promyk światła nie przenikał do tej głębokiej krypty. Morze, przypływające w tej chwili, zamykało jej otwór. Ale światło sztuczne wytryskujące długiemi snopami na wskróś ścian *Nautilusa* nie słabło ani na chwilę, to też zwierciadło wody otaczające pływający przyrząd błyszczało ciągle jednako.

Niezmierne znużenie przygnębiało w tej chwili kapitana Nemo, tak że opadł znowu bez sił na sofę. Nie było co nawet myśleć, o przeniesieniu go do Granitowego Pałacu, objawił bowiem wolę pozostania w pośrodku nieopłaconych miljonami, cudów *Nautilusa,* i tam oczekiwania śmierci, która nie mogła się opóźnić.

W ciągu dość długiego osłabienia, które prawie pozbawiło chorego świadomości, Cyrus Smith i Gedeon Spilett badali uważnie stan jego. Widocznem było, że kapitan gasł powoli. Wkrótce miało zupełnie zabraknąć sił temu niegdyś tak potężnemu ciału, dziś kruchej powłoce duszy zabierającej się do odlotu. Resztki życia zogniskowały się w sercu i głowie.

Inżynier i korespondent odbyli naradę cichym głosem. Możnaż było jeszcze coś uczynić dla umierającego? Czyliż było podobne, jeżeli już nie ocalić go, to przynajmniej przedłużyć mu życie na dni kilka? Nie, on sam oświadczył, że nie ma już dlań żadnego środka i oczekiwał ze spokojem śmierci, nie przejmującej go obawą.

— Jesteśmy bezsilni... — rzekł Gedeon Spilett.

— Z czegóż on jednak umiera? — spytał Pencroff.

— Gaśnie — odpowiedział korespondont.

— Gdybyśmy go jednak — ciągnął dalej marynarz, — wynieśli na świeże powietrze i na słońce, możeby przyszedł do siebie?

— Nie, Pencroffie — odparł inżynier — toby się na nic nie zdało! A zresztą kapitan Nemo nie zgodziłby się nigdy na opuszczenie swego pokładu. Od trzydziestu lat już żyje na *Nautilusie* i na *Nautilusie* a nie gdzieindziej chce umrzeć.

Zapewne kapitan Nemo musiał słyszeć odpowiedź Cyrusa Smitha, ponieważ podniósł się i rzekł głosem słabym, ale jeszcze zrozumiałym:

— Masz pan słuszność. Powinienem i chcę umrzeć tutaj... Mam nawet pod tym względem prośbę do panów...

Cyrus Smith i towarzysze zbliżyli się do sofy i ułożyli tak jej poduszki, ażeby umierający miał lepsze oparcie.

Wówczas można było widzieć, że wzrok jego zatrzymywał się z kolei na wszystkich cudach tego salonu, oświetlonego elektrycznemi promieniami, przenikającemi przez arabeski świetlistego sufitu. Popatrzył z kolei na obrazy zawieszone na przepysznych obiciach ścian, owe arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, francuskich i hiszpańskich, na rzeźby marmurowe i bronzowe wznoszące się na piedestalach, na organ wspaniały oparty o przepierzenie tylnej ściany, następnie na rozstawione w około znajdującego w środku basenu szklanne naczynia, w których błyszczały najbardziej godne podziwu płody morza: morskie rośliny, zoophyty, rożańce z pereł nieocenionej wartości, a wreszcie oczy jego zatrzymały się na tej dewizie wypisanej na frontonie muzeum, na dewizie *Nautilusa:*

Mobilis in mobili.

Zdawało się, jakoby chciał po raz ostatni popieścić wzrokiem te arcydzieła sztuki i przyrody, na których ograniczył swój widnokrąg w ciągu tyloletniego pobytu w otchłani mórz.

Cyrus Smith uszanował milczenie zachowywane przez kapitana Nemo. Oczekiwał aż umierający sam zabierze głos.

Po kilku chwilach, w ciągu których musiał widzieć przechodzące przed sobą całe swoje życie, kapitan Nemo zwrócił się do osadników i rzekł:

— Czy zdaje się wam, panowie, żeście mi winni pewną wdzięczność?...

— Kapitanie, oddalibyśmy życie nasze aby twoje przedłużyć!

— To dobrze — ciągnął dalej kapitan Nemo — to dobrze! Przyrzeknijcie mi więc wypełnić moją ostatnią wolę, a zapłacicie mi za wszystko, com dla was uczynił.

— Przyrzekamy! — odpowiedział Cyrus Smith.

A obietnicą tą wiązał zarazem siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — podjął kapitan — jutro już mnie nie będzie.

I powstrzymując ruchem Harberta, który chciał zaprzeczać:

— Tak jest — rzekł — jutro już mnie nie będzie, a nie pragnę innego grobu tylko *Nautilus.* To grobowiec mi przynależny! Wszyscy przyjaciele moi spoczywają na dnie mórz, i ja tam spocząć pragnę.

Głębokie milczenie przyjęło te słowa kapitana Nemo.

— Wysłuchajcie mnie dobrze, panowie — prowadził dalej — *Nautilus* uwięziony jest w tej grocie, której wejście się zniżyło. Jeżeli jednak opuścić nie może swojego więzienia, to może przynajmniej zapaść się do otchłani, która to więzienie okrywa i zachować w jej głębi moją śmiertelną powłokę.

Osadnicy słuchali z religijną uwagą słów umierającego.

— Jutro, po mojej śmierci, panie Smith — mówił dalej kapitan — pan i jego towarzysze opuścicie *Nautilus,* wszystkie bowiem skarby, które w sobie zawiera, powinne zniknąć wraz ze mną. Jedna tylko pamiątka pozostanie po księciu Dakkarze, którego historję znacie już obecnie. Ten oto kufereczek mieści w sobie djamenty wartości wielu miljonów, po większej części pamiątki z owej epoki, gdy będąc ojcem i małżonkiem, wierzyłem prawie w szczęście, a oprócz tego znajduje się w nim także zbiór pereł wydobytych przezemnie i przyjaciół moich z mórz głębi. Za pomocą tego środka możecie w danej chwili dokonać wielu pięknych rzeczy. W rękach takich jak twoje panie Smith, i twoich towarzyszy, pieniądze nie mogą być nigdy niebezpiecznemi. Będę więc tam z wysoka wspólnikiem waszych dzieł tutaj, i nie boję się o nie bynajmniej.

Po kilku chwilach odpoczynku, spowodowanych niezmiernem osłabieniem, kapitan Nemo ciągnął dalej w ten sposób:

— Jutro zabierzecie ten kufereczek i opuścicie ten salon, zamknąwszy za sobą drzwi; poczem wyjdziecie na platformę *Nautilusa* i spuścicie klapę, którą zanitujecie starannie.

— Zrobimy to wszystko kapitanie — odrzekł Cyrus Smith.

— Dobrze. Następnie zaś wsiądziecie na łódkę, na której tu przypłynęliście. Przed opuszczeniem jednak jeszcze *Nautilusa* udacie się na tył jego i otworzycie tam dwa wielkie kurki, na linji unoszenia się jego nad wodą. Wówczas woda dostanie się do rezerwoarów i *Nautilus* zagłębi się pomału, ażeby spocząć ostatecznie w głębi otchłani.

A gdy Cyrus Smith zrobił gest, jakby chciał coś zauważyć, kapitan dodał żywo:

— Nie obawiajcie się o nic. Pochowacie tylko zmarłego.

Ani Cyrus Smith ani żaden z jego towarzyszy nie sądził się obowiązanym do zrobienia jakiejkolwiek uwagi kapitanowi Nemo. Były to ostatnie rozporządzenia jego, których im udzielał i do których mieli tylko obowiązek się zastosować.

— Mam więc przyrzeczenie wasze panowie? dodał kapitan Nemo.

— Masz je, kapitanie — odrzekł inżynier.

Kapitan zrobił ruch podziękowania i prosił osadników, ażeby go zostawili samemu sobie na kilka godzin. Gedeon Spilett chciał koniecznie pozostać przy nim na przypadek gdyby zaszło jakie przesilenie, ale umierający odmówił słowami:

— Będę żył aż do jutra, panie.

Opuścili więc wszyscy salon, przeszli biblijo-

tekę, salę jadalną i przybyli wreszcie na przód przyrządu do izby machin, kędy się znajdowały przyrządy elektryczne, produkujące wraz z ciepłem i światłem, także i siłę *Nautilusa*. Ztąd osadnicy dostali się na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp nad wodą. Tu położyli się przed grubą szybą soczewkowatą, nakrytą rodzajem wielkiego oka z którego wytryskał snop światła. Za tem okiem widać było pokoik mieszczący w sobie koła sterowe, a w którym zawsze mieścił się sternik kierujący *Nautilusem* wskróś warstw płynnych, oświetlanych przez promienie elektryczne na znaczną niewątpliwie odległość.

Cyrus Smith i jego towarzysze pozostawali z początku w głębokiem milczeniu, żywo poruszeni tem wszystkiem co przed chwilą widzieli i słyszeli, i serce im się ściskało na myśl, że człowiek którego ramię pomagało im tylekroć, że protektor, którego znali kilka zaledwie godzin—znajduje się w przededniu śmierci. Jakikolwiek mógł być sąd przyszłości o czynach tego istnienia, rzec można, poza-ludzkiego, książę Dakkar pozostanie na zawsze jedną z tych fizjonomij osobliwych, których wspomnienie się nie zaciera.

— To mi człowiek — zawołał Pencroff.— Podobneż to do wiary, ażeby żył w ten sposób na dnie Oceanu? A pomyśleć jeszcze, że i tu może nie znalazł więcej niż gdzieindziej spokoju!

— *Nautilus* — zauważył Ayrton — przydałby się nam był może do opuszczenia wyspy Lincolna i dotarcia do jakiej zamieszkałej ziemi.

— Do tysiąca djabłów! — krzyknął Pencroff—już to pewnie nie ja odważyłbym się kiedykolwiek kierować podobnym statkiem. Po morzu płynąć — zgoda! ale pod morzem, nigdy!

— Zdaje mi się — odparł korespondent — że manewrowanie przyrządem podmorskim takim jak *Nautilus* musi być bardzo łatwe, Pencroffie, i że prędkobyśmy do niego przywykli. Nie ma na takim statku obawy burzy, ani jakiejkolwiek napaści. Na kilka stóp poniżej powierzchni fale morza są tak spokojne — jak jezioro.

— Wszystko to być może — odciął się marynarz — ale wolę już tęgą burzę na pokładzie uczciwie zbudowanego i ożaglowanego statku. Okręt stworzony do pływania po a nie pod wodą.

— Moi przyjaciele — odrzekł inżynier — bezużyteczną jest rzeczą, przynajmniej w stosunku do *Nautilusa*, rozbierać kwestję okrętów podmorskich. *Nautilus* nie do nas należy i rozporządzać nim nie mamy prawa. Zresztą nie moglibyśmy go użyć w żadnym razie. Nie mówiąc już bowiem o tem, że wydobyć się już nie może z tej jaskini, której wyjście zamknięte zostało przez podniesienie się skał bazaltowych — ale kapitan Nemo żąda, aby statek zatonął z nim razem po jego śmierci. Wola jego jest wyraźną i dopełnimy jej!

Cyrus Smith i towarzysze po rozmowie trwającej jeszcze przez pewien czas, zeszli znowu w głąb *Nautilusa*. Tam pokrzepili się nieco pokarmem i weszli do salonu.

Kapitan Nemo wydobył się nieco z przygnębienia, które go przytłoczyło i oczy jego zapłonęły dawnym blaskiem. Coś jakby uśmiech zarysowywał się na jego ustach. Osadnicy zbliżyli się do niego.

— Panowie — ozwał się do nich kapitan — jesteście ludzie odważni, uczciwi i dobrzy. Poświęciliście się wszyscy bez zastrzeżeń wspólnemu dziełu. Przyglądałem się wam często i bacznie. Pokochałem was, kocham was!... Daj mi rękę, panie Smith!...

Cyrus Smith wyciągnął dłoń swoją do kapitana, który ją uścisnął z uczuciem.

— Jak to dobrze! — szepnął.

A potem, podnosząc głos znowu:

— Ale dosyć już tego zajmowania się mną! — rzekł. — Mam z wami do pomówienia o was samych i o wyspie Lincolna, na której znaleźliście schronienie... Myślicież ją opuścić?

— Ażeby jednak powrócić na nią znowu, kapitanie! — odparł żywo Pencroff.

— Powrócić na nią? W istocie, Pencroffie — odrzekł kapitan, uśmiechając się — wszakże mi wiadomo, jak kochasz tę wyspę. Wasze to starania zmieniły ją do gruntu i niezaprzeczenie jest waszą własnością!

— Zamiarem naszym, kapitanie — ozwał się Cyrus Smith — byłoby obdarzyć nią Stany Zjednoczone i założyć na niej dla naszej marynarki punkt odpoczynku, bardzo szczęśliwie położony w tej części Oceanu Spokojnego.

— Wciąż macie na myśli kraj swój, panowie — odrzekł kapitan. — Pracujecie dla jego pomyślności, dla jego sławy. O, macie słuszność. Ojczyzna!... tak, należy wrócić do niej!... Tak, w niej się powinno umrzeć!... A ja umieram zdala od wszystkiego, co ukochałem.

— Czy masz pan może do przesłania jakie ostatnie rozporządzenia — zawołał żywo inżynier — może jaką pamiątkę do wręczenia przyjaciołom, których mogłeś pozostawić w górach Indyj?

— Nie, panie Smith. Nie mam już przyjaciół! Jestem z mojej rasy ostatnim, i dawno już umarłem dla wszystkich, którzy mnie znali. Powróćmy jednak do was. Samotność, odosobnienie, są to rzeczy smutne, przechodzące ludzkie siły. Ja umieram, poświęciwszy wszystko wierze, że można żyć samotnym. Wy więc powinniście nie zaniedbać niczego do opuszczenia wyspy Lincolna i ujrzenia na nowo ziemi, gdzieście się urodzili. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli zbudowany przez was statek...

— Obecnie budujemy okręt — ozwał się Gedeon Spilett — okręt dosyć wielki, aby nas mógł przenieść do ziem najbliższych; czy jednak prędzej, czy później zdołamy opuścić wyspę Lincolna, zawsze powrócimy do niej. Zbyt wiele wspomnień nas z nią wiąże, ażebyśmy mogli kiedykolwiek o niej zapomnieć.

— Tutaj poznaliśmy kapitana Nemo — ozwał się Cyrus Smith.

— I tutaj tylko możemy odnaleść w zupełności jego wspomnienie! — dodał Harbet.

— I tutaj ja odpocznę snem wieczystym, chybaby...— odpowiedział kapitan, i zawahawszy się, zamiast dokończyć zaczętego zdania, poprzestał na powiedzeniu:

— Panie Smith, chciałbym z tobą pomówić, z tobą samym!

Towarzysze inżyniera, pełni szacunku dla tego życzenia umierającego, wyszli wszyscy.

Cyrus Smith pozostał tylko minut nie wiele zamknięty z kapitanem Nemo. Wkrótce przywołał napowrót przyjaciół, ale nie wyjawił im ani słowa z tych tajemnic, które umierający mu powierzył.

Gedeon Spilett zwrócił wówczas natężoną uwagę na chorego. Widocznem było, że kapitana podtrzymywała już tylko energja moralna, która jednakże wkrótce już nie wystarczy do reagowania przeciw osłabieniu fizycznemu.

Dzień się skończył, nie przyniósłszy żadnej ważnej zmiany. Osadnicy nie opuścili ani na chwilę *Nautilusa*. Noc nadeszła, jakkolwiek niemożliwem było poznać to w krypcie.

Kapitan Nemo nie cierpiał, ale gasł. Szlachetne jego oblicze, okryte bladością zbliżającej się śmierci, oddychało jednak spokojem. Z ust jego wyrywały się niekiedy niepochwytne prawie słowa, odnoszące się do rozmaitych zdarzeń jego osobliwego żywota. Każdy czuł, że życie uciekało powoli z tego ciała, którego kończyny w zupełności już ostygły.

Raz jeszcze, czy dwa razy odezwał się do osadników stojących przy nim i uśmiechnął się do nich owym ostatnim uśmiechem, którego nawet śmierć nieraz nie zaciera.

Wreszcie, nieco po północy, kapitan Nemo zrobił ostateczny wysiłek i zdołał skrzyżować ręce na piersiach, jak gdyby pragnął umrzeć w tej pozycji.

Około pierwszej nad ranem, całe życie zbiegło się w jego spojrzeniu. Ostatni błysk zaświecił w tej źrenicy, z której niegdyś tyle tryskało płomieni. Następnie usta jego wyszeptały: „Bóg i Ojczyzna!“ — i wydały łagodnie ostatnie tchnienie.

Wówczas Cyrus Smith, schyliwszy się, przymknął powieki człowiekowi, który był niegdyś księciem Dakkarem, a w tej chwili przestał być nawet kapitanem Nemo.

Harbert i Pencroff płakali, Ayrton ocierał łzę kryjomo. Nab klęczał obok korespondenta skamieniały.

Wśród tej ciszy, Cyrus Smith podniósłszy rękę nad głową umarłego, zawołał:

— Niech Bóg ma w opiece duszę jego! — i zwracając się do przyjaciół, dodał:

— Módlmy się za tego, któregośmy stracili!...

. . . .

W kilka godzin później osadnicy wypełniali obietnicę daną kapitanowi, spełniali ostatnią umierającego wolę.

Cyrus Smith i towarzysze opuścili *Nautilus*, zabrawszy z sobą jako jedyną pamiątkę, pozostawioną im przez dobroczyńcę, ów kufereczek mieszczący w sobie tyle fortun.

Cudowny salon, wciąż zalany powodzią światła, zamknęli starannie. Poczem zanitowali otwór klapy, tak, ażeby ani jedna kropla wody nie mogła przeniknąć wewnątrz komnat *Nautilusa*.

Następnie zaś zeszli do łódki przywiązanej do boku podmorskiego przyrządu. Na łodzi tej podpłynęli ku tyłowi przyrządu. Tam, nad linją unoszenia się jego nad wodą, znajdowały się dwa ogromne kurki komunikujące z rezerwoarami, których przeznaczeniem było zatapiać przyrząd.

Po otwarciu kurków, rezerwoary się przepełniły wodą i *Nautilus* zagłębiając się powoli, zniknął wkrótce pod płynną płaszczyzną.

Ale długo jeszcze osadnicy śledzić za nim mogli okiem skróś warstw głębokich. Potężne jego promieniowanie oświetlało przezrocze wód, podczas gdy krypta stawała się coraz mroczniejszą. Wreszcie to potężne oświetlenie elektryczne znikło — i *Nautilus* zamieniony w grobowiec kapitana Nemo spoczął już na dnie mórz...

(C. d. n.)

Słowa Zachowawcy.

z

„Les chatiments“

Wiktora Hugo.

We śnie? Na jawie? Nie wiem,—sądźcie sami.
Mąż jakiś w wieku. z siwemi włosami
Na zrytej skroni, poważny, bogaty,
(Z drogiej materji wieściły to szaty)
Konserwatysta (wniosłem to z oblicza
Co mu byt dobry pogody użycza
I z okrągłej tuszy) tak przemawiał do mnie:
— „Świat na nas sarkał, zawzięcie, ogromnie,
Ale niesłusznie, bo czyn nasz, pewnikiem,
Tychże co wasze zasad był wynikiem.
Myśmy w Nim jednym, jak wy w innych masie,
Ten sam występek w swym skarcili czasie.
Myśmy w Nim prawnie, w kodeks zajrzeć proszę,
Demagogiczne stłumili rokosze.
Głębiej w rzecz wniknąć sumiennie wam radzę:
On bunty szerzył, podkopywał władzę,
On wzdłuż i w poprzek nasze zbiegał kraje
Głodne i bose wiodąc z sobą zgraje,
Prorocząc postęp, równość i braterstwo,
Pogardę bogactw, wielkości? Bluźnierstwo!
On, któraż władza gdzie na to pozwoli?
On lud odciągał od pracy, od roli,
Stawiąc mu przykład tych, pod pieczą Bożą
Lilji a ptaszków, co ni żną, ni orzą.
On dnia jednego, któż tak pytam czyni?
Zawziął się srodze na kupców w świątyni,
Porządnych kupców, co płacąc komorne,
Czynsz a podatek, na kramy bezsporne
Mieli tam prawo. On z pękiem rózg w ręku,
Precz ich rozpędził. On, nie wstrzymam jęku!
On się odważył, toć o pomstę woła
Nicować czyny, czyje? Sług kościoła!
Arcykapłanów! Przebrała się miara,
O wszystko mniejsza! Ale co to... wara!
Wróg tak duchownej jak świeckiej korony,
Według praw brzmienia słusznie osądzony.
Zawisł na krzyżu!...“

Na ostatnie słowa
Ktoś jest? — Spytałem. — I o kim twa mowa?
„Jestem Elizab — odrzekł — za Piłata,
Konserwatysta ówczesnego świata.
Mówię zaś — dodał jak gdyby z przymusem —
O demagogu, co się zwał *Chrystusem*.“

Paryż d. 15 Listopada 1875.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

Józef Rogosz.

(*Ciąg dalszy.*)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Już dwa lata upłynęły od ślubu Toni z Edmundem.

Pięknie było w Romanówce! Tonia miała wszystko: drób i śliczne bydełko, ogród i kwiaty, altanę i Edmunda, a co najważniejsze... dziecię, które tak kochała! Chłopczyk właśnie rok skończył, a nazywał się Edmund-Kazimierz, po ojcu i dziadku. Matka nazywała go najchętniej Mundziem, ojciec z początku Kaziem, lecz że dzieciak gdy go po imieniu wołano, wystrzeszczał duże niebieskie oczy, które po matce odziedziczył, bo zresztą jak jedna kropla wody do drugiej, do ojca był podobnym, i widocznie myślał jak się właściwie nazywa, więc matka z obawy, by to głębokie myślenie nie zaszkodziło dziecku, wymogła na mężu, że jedynak został tylko Mundziem.

Życie naszych przyjaciół biegło spokojnie, powiedzielibyśmy nawet jednostajnie, jak woda w poważnym strumieniu, który na wiosnę nie wylewa, a w lecie nie wysycha — i było jasne jak jego powierzchnia. Tonia zajmowała się domem, najwięcej dzieckiem, Edmund zaś doglądał gospodarstwa, a wieczorami bądź słuchał gdy żona grała, bądź jej czytał jaką książkę zajmującą. W pierwszym roku, ilekroć czas pozwolił, odwidzali rodziców, lub kogoś w sąsiedztwie, najczęściej mieszkańców Warnowiec — lecz odkąd Tonia matką została, nie chcąc ani na chwilę dziecka opuścić, zostawała zawsze w domu, a wysyłała samego Edmunda, by nie zerwać stosunków sąsiedzkich. Z początku Edmund nie chciał wyjeżdżać bez żony — potem uległ jej namowom.

— Jedź, jedź Mundziu, rozerwij się trochę tylko nie baw się długo, bo będę niespokojną.

Temi słowy zawsze go z domu wyprawiała. Edmund wyjeżdżał i wracał zaraz po słońca zachodzie. Kilka jednak razy zdarzyło się, że zabawiwszy się w Warnowcach, przyjechał o godzinie dość spóźnionej. W takich wypadkach Tonia zawsze czekała, choćby do północy i później, często wyglądając przez okno i wysyłając dworskich na zwiady, czy pan nie jedzie. Z każdą upływającą minutą zwiększał się jej niepokój, gdyż jadąc do Warnowiec trzeba się było przeprawiać przez rzekę, na której sąsiad, p. Krzysztof, nigdy dobrego promu nie utrzymywał. Niepokój jednak przemieniał się w radość najwyższą, gdy w bramie usłyszała rżenie koni, którym towarzysze w stajni zaraz odpowiadały. Wtedy z otwartemi ramiony biegła na spotkanie męża, a gdy ten całował ją w czoło, tuliła się do jego piersi mówiąc:

— Zabawiłeś się Mundziu, a mnie tak tu było smutno! Bałam się czy nie miałeś jakiego wypadku.

— Dziecko z ciebie — odpowiadał mąż — przecie jestem mężczyzną! Hrabia nie chciał mnie puścić i zatrzymał na herbatę — trudno było odmówić, a z powrotem nie mogłem dowołać się przewoźników, tak wszyscy byli pijani. Jużto nasz kochany pan Krzysztof znakomity ma u siebie porządek.

— Dlatego też jabym była zdania, żebyś ile możności starał się wcześniej wyjeżdżać, bo na wodzie doprawdy nie trudno o jaki wypadek... konie masz teraz niespokojne.

— Dobrze moje dziecię, dobrze, na drugi raz wrócę za dnia.

Tonia uspokojona przyrzeczeniem, prowadziła Edmunda do dziecka, aby jeszcze chwilę nacieszyć się widokiem śpiącego anioła.

Tonia w tych dwóch latach prawie nic się nie zmieniła; nawet na jej twarzy został jeszcze ten delikatny puszek brzoskwiniowy, który jest najpiękniejszą ozdobą dziewic; rysy tylko były teraz ostrzejsze, spojrzenie pewniejsze, a wszystkie kształty pełniejsze. Nie był to już pączek róży zaledwie pękający — była to róża w pierwszym swoim rozkwicie. Młodzi ludzie z sąsiedztwa podziwiali w niej tę zmianę, a hrabia Dziunio często powtarzał:

— Jak mamę kocham, ani bym był przypuścił żeby ta blondyneczka miała taką rasę! Szkoda tylko, że brak jej temperamentu.

Edmund był skończonym mężczyzną.

Major nierównie więcej czasu spędzał u dzieci w Romanówce, niż u siebie we Wolicy. Przyjechawszy, bawił nieraz kilka tygodni, a znaglony sprawami gospodarskiemi, wyjeżdżał, by za dzień lub dwa znowu powrócić. Jeżeli w życiu był kiedy szczęśliwym, to teraz najwięcej, bo odtąd żył już nie dla jednej tylko córki, lecz dla całego pokolenia.

W lecie major wyjeżdżał do wód zagranicznych, których domagało się jego zdrowie skołatane; wtedy w Romanówce było mniej ludno. Pani Katarzyna rzadko do dzieci zaglądała, a jeśli kiedy zdecydowała się na tę podróż trwającą zaledwie godzinę, najchętniej wybierała takie dni, w których Edmunda w domu nie było, a wiedziała zawsze kiedy zięć wyjeżdżał do miasta w sprawach własnych lub powiatu. W domu swoim przyjmowała zięcia bardzo zimno, a że sama nigdy go nie zapraszała, więc Edmund nie spieszył się do świekry. Tonia chciała naprawić stosunki, których naprężenie zbyt już długo trwało, lecz najusilniejsze prośby i perswazje rozbiły się o opór pani Katarzyny, która córce zawsze powtarzała: „Ja twego męża bardzo cenię,“ — a przed panią Pędracką zwierzała się sekretnie: „Ja się nie mogę przekonać do tej gadziny.“ Lecz nie bierzmy za złe pani majorowej. Wszak od wyjścia za mąż Toni, hrabia Dziunio zjawiał się we Wolicy zaledwie raz do roku, a chociaż przyjeżdżał w południe, nie zostawał na objedzie, i nie całował jej pulchnych rączek. Dawniej całował obie, teraz ani jednej! Czyż pani Zawilska nie mogła mieć za to słusznej urazy do Edmunda?

Był lipiec z całem swojem ciepłem — światłem i wonią.

Przed gankiem obok gazonu siedziała na murawie Tonia, a tuż przy niej niańka z dzieckiem. Tonia bawiła się małemi kaczętami, które puszczała na wodę znajdującą się w płytkiem naczyniu; dziecko przypatrywało się ciekawie gałązce, którą niańka odpędzała od jego twarzyczki muchy natrętne. Wkrótce dziecko znudzone monotonnością poruszeń, usnęło na ramieniu niańki, co widząc matka, kazała dziewczynie odejść do pokoju i złożyć Mundzia do kolebki. Sama została, patrząc dalej z upodobaniem na małe ptaszęta, jak przez nikogo nieuczone, swobodnie pływały po wodzie, od czasu do czasu zanurzając w niej swoje szerokie i żółte dzióbki. Od pola nadjechał Edmund na koniu; wracał z codziennej objażdżki. Obok biegły dwa śliczne charty: *Panicz* i *Lotka*.

— Mundziu! Mundziu! — zawołała Tonia,— popatrz na te lube stworzeńka. Dopiero wczoraj się wykłuły, a już tak ślicznie pływają.

— Piękne — rzekł Edmund obojętnie zsiadłszy z konia, którego chłopak odprowadził.

— Weź tylko jedno do ręki, jakie to delikatne! Puszek jak pela!

— Zwyczajnie jak u małych kacząt.

— Ale weź Mundziu, weź! — napierała Tonia.

— Wezmę, wezmę, jeśli ci to sprawi przyjemność — odpowiedział biorąc jedno do ręki,— chociaż szczerze ci wyznam, że na takiej sielance nic się nie rozumiem.

— A mnie to tak bawi!

— Szczęśliwaś, Toniu.

— A ty?

— Ja?... No jam także szczęśliwy... Przecie nigdy nie słyszałaś bym się uskarżał.

— Toby już smutno było, Mundziu, gdybyś się uskarżać potrzebował — odpowiedziała Tonia jakby bezmyślnie, bawiąc się ciągle ptaszętami.—

Precz! pójdziesz! — zawołała nagle na charty, które zbliżyły się do naczynia, pożądliwie ku kaczkom nosy wyciągając. Edmund krzyknął energiczniej i oba psy cofnęły się natychmiast, zatrzymując się w przyzwoitem oddaleniu.

W tej samej chwili przez drzwi otwarte na ganek, dał się słyszeć głośny krzyk dziecka. Tonia puściła ostatnie kaczę na wodę i w mgnieniu oka znalazła się obok kolebki; Edmund pospieszył za żoną. Przestrach rodziców był zbyteczny, albowiem malec tylko dlatego zapłakał, że zbudziwszy się nie zobaczył przy sobie niańki ukochanej, która korzystając ze snu dziecka, wybiegła do kredensu na gawędkę. Matka ukoiwszy płacz jedynaka, dała go ojcu; ten usiadł i jak według zwyczaju, bawił się z nim, pozwalając się szarpać za włosy i wąsy, które mówiąc między nami wcale jeszcze nie były długie. Tonia wróciła na ganek, ale zaledwie rzuciła okiem na naczynie z wodą, okrzyk nie trwogi, lecz prawdziwej rozpaczy wyrwał się jej z piersi.

— Boże! Mundziu!

— Co ci jest Toniu? — zawołał mąż z dzieckiem nadbiegając.

— Moje kaczęta Mundziu, moje kaczęta! Charty zjadły kaczęta!

I łzy puściły się jej z oczu.

W istocie *Panicz* i *Lotka* korzystając z nieobecności swoich panów, spożyły na śniadanie ośmioro kacząt, i właśnie gdy Tonia pojawiła się na ganku, ostatnie wpadło jak w otchłań w szeroką paszczę *Lotki*.

— Przykry wypadek — perswadował Edmund — ale nie płacz Toniu, szkoda twoich oczu. Już tego nikt nie naprawi.

— Nie płacz... szkoda oczu... dobrze ci mówić Mundziu, ale moje biedne kaczęta... Widziałam jeszcze jednę łapkę... Moje biedne kaczęta, co one im zawiniły!

— Prawda że im nie zawiniły, lecz od zwierzęcia trudno żądać rozumu.

— Już nie raz prosiłam byś komu darował te charty... spodziewałam się nieszczęścia!

— Nieszczęścia, nieszczęścia! — powtórzył Edmund niecierpliwie oddając dziecko niańce, która nadbiegła z kredensu. — Doprawdy moja Toniu nie wiedziałem, że z ciebie takie dziecko. Rzecz, o której zaledwie mówić warto, porusza cię do głębi, mazgaisz się i płaczesz jak gdyby w rzeczy samej wydarzyło się jakie nieszczęście. Wierz mi Toniu, mnie to już nudzi!

Żona podniosła na męża zwilżone spojrzenie. Nigdy nie przemawiał tak cierpko, z ust jego nie słyszała jeszcze aby go nudziła. Łzy szczere, które biegły jej z oczu, zatrzymały się jak zaklęte, a usta wyszeptały po chwili:

— Daruj mi Mundziu, nie wiedziałam, że ciebie to znudzi.

Mąż zaczął ją przepraszać za słowo, o którem twierdził, że wyrwało mu się wbrew woli, a chociaż Tonia przyjęła przeproszenie, tego dnia nie mogła już odzyskać naturalnej swobody.

Po południu przyjechała pani Hermina konno, w ślicznym stroju amazonki, a za nią groom z plikiem papierów, które miał w tece na piersiach. Piękna siostrzenica hrabiego przepadała za konną jazdą, to też bardzo często robiła takie wycieczki do Romanówki. Edmund był uszczęśliwiony, ale Tonia widocznie tak się zmartwiła wypadkiem porannym, że nawet obecność przyjaciółki nie mogła na jej twarzy wesołego wywołać uśmiechu.

Pani Hermina miała teraz lat dwadzieścia cztery i była jeszcze piękniejszą niżeli przed dwoma laty, gdyśmy ją pierwszy raz poznali we Wolicy. Wprawdzie rys twarzy stał się ostrzejszym i cera bledszą, lecz za to spojrzenie nabrało tej siły pociągającej i odtrącającej zarazem, która demoniczny wpływ wywiera na całe otoczenie. Słabi lękają się takiego wzroku,— silniejsi chcieliby zbadać jego tajemniczość — silni wyzywają go do walki pragnąc pokonać...

— Droga Toniu, — przemówiła hrabina — przywiozłam ci umyślnie te nuty, o których mówiłam ci przedwczoraj. Sprobujemy zaraz na cztery ręce. Przekonasz się jakie piękne.

— Dziękuję ci Hermińciu, ale doprawdy nie wiem, czy będę mogła grać... coś mnie głowa boli.

— Cóż ci się stało moje dziecię? Czy tylko nie pan mąż!

Mówiąc to pogroziła Edmundowi paluszkiem wskazującym w jasnej rękawiczce jelonkowej.

— Jeżeli to on powodem — dodała z uśmiechem figlarnym patrząc na Edmunda — powiedz mi otwarcie, a sprzymierzę się z tobą i weźmiemy panicza na surową konfessatę.

— Jakkolwiek taka kara — wtrącił Edmund — mogłaby mi tylko przyjemność sprawić, mimo to muszę zaprotestować przeciw łaskawym pani zamiarom. Jeżeli Tonia smutna, doprawdy nie jam temu winien.

— A któż?

— Niech Tonia sama powie.

— No powiedz, Toniu, powiedz, bo doprawdy masz minę jak na pogrzebie.

Podczas gdy Hermina pytała, jasne spojrzenie Toni spoczywało na Edmundzie; a jakieś dziwne być musiało, kiedy on aż wzrok odwrócił i prędko odrzekł hrabinie.

— Rzeczywiście, dziś mieliśmy tu pogrzeb ośmiu, czy nawet dziesięciu ofiar, które równocześnie wstąpiły do grobu.

— Co pan mówisz?

Edmund szybko opowiedział wypadek.

— Nie prawdaż — dodał kończąc — że Tonia ma powód być smutną.

Tonia spojrzała na męża jak dawniej, a on znowu wzrok odwrócił.

— Mój panie Edmundzie — przemówiła hrabina poważnie,—myślałam że pan jeden jesteś innym, a tymczasem widzę, żeś tylko mężczyzną. Panowie nie rozumiejąc serca kobiety, nie wiecie, że najmniejsza na pozór drobnostka porusza je i rozstraja.

— Jeżeli tak, — odparł Edmund — to niechże to serce będzie przynajmniej konsekwentnem, ale panie płaczecie, gdy chart lub jastrząb porwie kaczę albo kurczę, a z zimną krwią wydajecie rozkazy zabicia tyle a tyle drobiu na objad lub do herbaty.

— Ja jeszcze nie kazałam zabić ani jednego ptaszka! — zaprotestowała Tonia.

— I ja nie! — potwierdziła Hermina.

— Bo na szczęście obie panie macie klucznice, od których zawisł wyrok śmierci. Lecz to winy bynajmniej nie zmniejsza. Zresztą wspominał mi raz hrabia, że pani nawet lubisz polowanie z chartami, jak więc pogodzić jej protest z tem zamiłowaniem barbarzyńskiem?

— Ja też nie bronię siebie, tylko Tonię, i to com mówiła o drobnostkach zajmujących kobietę, odnosiło się do niej wyłącznie. Co do mnie, nie jestem tak tkliwą, i rozumiem nawet owe kobiety rzymskie, które spokojnie przypatrywały się walce gladjatorów. Łowy z chartami w rzeczy samej lubię, a chociaż od trzech lat nie używałam tej przyjemności, tej jesieni zaproszę się kiedyś do was na polowanie.

— Prawdziwą mi to sprawi przyjemność — odrzekł gospodarz.

— I tobie nie żal Hermino biednego zająca? — zapytała Tonia.

— W chwili gdy go psy dopadają, odwracam oczy... za to z przyjemnością lubię patrzeć gdy biorą lisa, bo to drapieżnik, zdrajca! Ale czy dalibyście państwo wiarę, że przed pięciu laty, jeszcze za lat panieńskich, o mało życiem nie przepłaciłam mojej pasji.

— Cóż takiego? — zapytali małżonkowie równocześnie.

— Napadły mnie wilki.

— Wilki?

— Najprawdziwsze w świecie i sama jedna musiałam się bronić... Nieboszczyk mój ojciec był zapalonym myśliwym i bardzo często, gdym jeszcze była dzieckiem, brał mię z sobą na polowanie. Przyzwyczajenie tak głęboko we mnie się zakorzeniło, a emocja podczas polowania z chartami, taką stało się dla mnie potrzebą, że po jego śmierci towarzyszyłam zawsze braciom, ilekroć przyjechawszy do domu wybierali się na lisa. Pewnego razu w zimie zostawszy się sama, gdyż mama wyjechała w sąsiedztwo, a bracia byli w szkołach, i nudząc się niesłychanie po południu, kazałam zaprządz do sanek, wzięłam sforę chartów, chłopca ze strzelbą i wyjechałam w pole pod las, który ciągnął się o dobrą milę od naszego dworu. W godzinę miałam dwa lisy. W chwili gdym kazała nawrócić, zerwał się wicher tak gwałtowny, że nie podobieństwem było oczu otworzyć. Śnieg zmarznięty a jak pył drobny, porywany z otwartej przestrzeni, otaczał nas jak obłokiem. Znajdywaliśmy się pod lasem, na polu zasianem z rzadka drobnemi krzakami. Mój Maciej szukał drogi, lecz nie mógł znaleźć; tymczasem szybko się zciemniało. Widząc że źle, kazałam mu się trzymać prawej krawędzi lasu, aby bądź co bądź dostać się do szosy, która zaczynała się o dobre pół mili. Jużeśmy minęli znaczną część drogi, gdy nagle konie stają, zdradzając największy niepokój. Maciej zacina, konie skaczą w bok, i z całych sił pędzą na wskos do jakiejś wsi, widnej na prawo. Chłopiec, który w jednej ręce trzymał strzelbę, a psy w drugiej, zawołał z przestrachem: — wilki! Maciej jego okrzyk zaraz potwierdził, wskazując batogiem kilka plam czarniejących na śniegu. W rzeczy samej cztery wilki pędziły z boku zabiegając nam drogę.

— Ach to okropne! — przerwała Tonia.

— Niemiłe spotkanie — potwierdził Edmund.

— W każdym jednak razie nie tak straszne, jak się dziś wydaje — ciągnęła piękna hrabina. — Już wtedy przekonałam się, że niebezpieczeństwo jest nierównie większem, gdy się go niewidzi, a tylko domyśla, lub przeczuwa; zmierzone na dwa kroki, traci natychmiast na swych rozmiarach. Konie parskały i pędziły jak szalone, grożąc ciągle saniom wywrotem, bo pod śniegiem na polu było mnóstwo pni, pagórków i rowów. Widząc że mój Jasiek, który wtedy miał najwięcej lat czternaście, traci przytomność, kazałam mu psy oburącz trzymać, sama zaś chwyciłam strzelbę do ręki.

— Strzelbę?! — przerwała Tonia.

— Pani? — zapytał Edmund ze zdziwieniem wpatrując się w opowiadającą.

— Ja, bo też na razie nie mogłam nic lepszego uczynić. Zaledwie wzięłam broń do ręki i kurki odwiodłam, sanki oparłszy się o krzak stanęły. Naprożno konie szamotały się rozpaczliwie; krzak nie ustąpił z drogi, uprzęż nie pękła, i tak wszyscy znaleźliśmy się na czystem polu, od wilków zaledwie na kroków pięćdziesiąt. Widząc że nie ma chwili do stracenia, zmierzyłam się do największego, który biegł przodem, strzelam i wilk pada nieżywy. Po drugim strzale drugi położył się na śniegu. Moje charty tymczasem, a były niesłychanie silne i rosłe, usłyszawszy strzały wyrwały się Jaśkowi i z sani wyskoczyły. Pozostałe wilki, które musiały być młode, bo po pierwszym zaraz strzale skoczywszy w bok stanęły, widząc dwa psy tak duże, puściły się z powrotem do lasu, a charty za niemi. Maciej i Jasiek ochłonąwszy z przestrachu, wydobyli sanie, wzięli z pobojowiska moja trofea, a w godzinę byliśmy już w domu jeszcze przed powrotem matki.

— Winszuję pani takiej odwagi, szczerze winszuję — rzekł Edmund podając hrabinie rękę, którą ona z wdziękiem uścisnęła. — Tonia nie okazałaby tyle siły i przytomności.

— Jabym wpierw umarła! — szepnęła Tonia naiwnie.

— Tak ci się zdaje, moja duszko — rzekła Hermina. — My kobiety nigdy nie możemy być pewne, jak daleko sięga nasza odwaga, a poznajemy ją dopiero wśród okoliczności... I mnie przedtem nawet przez myśl nie przeszło, bym sama jedna mogła stawić czoło aż czterem napastnikom, a przecież obroniłam się gdy tego konieczność wymagała. Była to więc odwaga z konieczności, do której moja Toniu i ty byłabyś zdolną.

— O nie Hermińciu, nie! — zaprotestowała Tonia.

— Zobaczymy... kto wie co się jeszcze stać może... i abyś nie uważała tylko mnie za osobę ekscentryczną, lub istotę krwiożerczą, więc tej jesieni musisz z nami polować. Cóż pan na to, panie Edmundzie?

— O, bardzo ci będę wdzięczny hrabino, jeśli Tonię trochę rozerwiesz.

— Rozerwiesz? Edmundzie, ja się nudzę...

— Ach!... przepraszam cię mój aniele, chciałem powiedzieć, jeżeli cię pani Hermina rozrusza.

— Bardzo cię kocham Hermińciu, — odpowiedziała Tonia z uśmiechem melancholijnym — lecz w każdym razie psoty mego Mundzia większą mi sprawiają przyjemność, niż polowanie, które znam tylko z opisów.

— Prawda... zapomniałam... tyś matką! — szepnęła hrabina w dół oczy spuszczając.

Całą godzinę grały panie prześliczne sonaty i nokturny, a gdy nad wieczorem piękna hrabina dosiadała wierzchowca, Edmund, który z wielką przyjemnością słuchał muzyki, zwrócił się do niej, prosząc by przywiezione nuty zostawiła Toni, dopóki się ich na pamięć nie nauczy.

— Chętnie — odrzekła — ale za trzy dni muszę je mieć koniecznie, bo jeszcze sama nie umiem na pamięć, a wujaszek jest także wielkim miłośnikiem muzyki. Adieu!

I to rzekłszy, przyłożyła rękę do ust, a posławszy pocałunek stojącym na ganku małżonkom, uderzyła konia szpicrugą po szyi i w pełnym galopie ruszyła przez bramę. Z daleka widać było jej białą woalkę, unoszącą się jak obłok nad czarnym kapeluszem.

— Dzielna kobieta! — rzekł Edmund patrząc za odjeżdżającą.

— Czy ty jej nuty sam odwieziesz? — zapytała Tonia.

— Sam? nie wiem... — odrzekł wahając się Edmund — chociaż może wypada, bo jeźli była tyle grzeczną, że sama przywiozła, to słusznie mogłaby się obrazić, gdybym je odesłał przez służącego.

— W takim razie może najlepiej będzie jeżeli ja pojadę do Warnowiec... O ile mi się zdaje, winnam Herminie dwie czy trzy wizyty.

— To mi się podoba! — Zawołał Edmund całując żonę w czoło. — Już nie raz chciałem ci zrobić uwagę, że dla Herminy jesteś zbyt obojętną, prawie zimną, a bez przyczyny, bo przecie wiesz, że nie masz szczerszej przyjaciółki... — Tonia zamiast odpowiedzi lekko westchnęła, a wziąwszy męża za rękę poprowadziła go do kolebki śpiącego dziecka. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Poezje Adama Pajgerta, Lwów u Zawadzkiego 2 tomy Kajus Gracchus, dramat w 5 aktach Karola Klossa Lwów; Gubrynowicz i Schmidt. — Bohdan Jański „pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji,“ szkic biograficzny, skreślił Edmund Callier. Poznań — E. Callier. (Ciąg dalszy.)

W ostatnich kilku latach nasza literatura dramatyczna rozwinęła się znacznie: prawie każdy miesiąc przynosi nam jakiś nowy utwór sceniczny, a co roku prawie pojawia się kilka wybitnych talentów, których istnienia nawet nie przeczuwano. Warszawa, tak jak pod wielu innymi, tak i pod tym względem prym trzyma, a autor tragedji pt. „Cajus Gracchus,“ o której mówić zamierzamy, niedawno przysiedlił się ze stolicy do Lwowa. „Cajus Gracchus“ jest pierwszą pracą p Karola Klossa, jak o tem nas sam autor w dedykacji rodzinie poucza. Jest przyjętym przez naszych krytyków zwyczajem, że duchowe pierwociny młodych pisarzy traktują z pobłażaniem, prawią „o wiele zwiastującym talencie, który się może rozwinąć,“ o „niepewnie stawianych krokach, na trudnej drodze,“ i t. d. w ogóle piszą tak, że w ich recenji każdy młody autor zawsze jednakowo wygląda. Z zasady nie odmawia się nikomu talentu, zachęca się do pracy, prawi z partesu kilka frazesów o trudnym zawodzie pisarza, posypie się trochę pochwał dodając jednak do każdej sakramentalne „ale“ i już gotowa recenzja, z której ani autor ani publiczność nic się nie dowie, ale za to etykietalnie wykrochmalona, uśmiechająca się z dobrotliwą powagą, a zarazem w wysokim stopniu dyplomatyczna. Podobny sposób traktowania utworów młodych pisarzy uważamy, za nieodpowiedni i szkodliwy. Nie przeczymy, że autorem wstępującym po raz pierwszy w literackie szranki, należą się pewne względy od siedzących spokojnie i bezpiecznie na trybunie arbitrów, względów tych jednak nie należy posuwać zbyt daleko. Autor, który ma odwagę wystąpić publicznie z swoim utworem, nie powinien być traktowany jak niedorostek, ale powinien być przygotowany na to, że się spotka z sumienną, surową krytyką. Prawodawstwo wyróżnia pełnoletnich od nieletnich przestępców, krytyka ubliża sobie i autorom, jeżeli podobne odróżniania wprowadza. Młody autor z prawdziwym talentem nie przestanie pisać, choć pierwsze jego utwory krytyka ostro osądzi, a jeżeli przez to zrazi się jakiś niepowołany amator czernidła drukarskiego, to i owszem. Postępując w ten sposób, przyjdziemy do tego, że wprawdzie będzie mniej piszących, ale za to szeregi pracowników na polu literatury, składać się będą z mężów silnych talentem.

Kilka tych uwag uczyniliśmy raz z powodu, ażeby zwrócić uwagę na nieodpowiednie traktowanie młodych pisarzy przez tutejszych arystarchów, a powtóre, ażeby zaznaczyć nasze stanowisko, z jakiego zapatrywać się będziemy na dramat p. Klossa i w ogóle na utwory młodych pisarzy, jeżeli będziemy mieli kiedy przyjemność pogawędzić o którym z nich z łaskawymi czytelnikami. P. K. Kloss wybrał za temat swego dramatu ważną chwilę historji rzymskiej, chwilę, w której po raz ostatni wystąpił w całej potędze duch republikańskiego gminowładztwa przeciw uciskowi możnych; koniec tej walki był szczęśliwym dla tych ostatnich. Walka patrycjuszów z plebejuszami zakończyła się zupełnem równouprawnieniem secesjonistów z góry świętej. ale kwestja agraryjna (podziału gruntów) mimo praw Licynjusa nigdy nie została dokładnie załatwioną. Miejsce patrycjuszów i plebejczyków, zajęli „beati possidentes“ i pospólstwo bez ziemi. Kwestja polityczna zmieniła się na socjalną. Gracchowie podnieśli myśl wyzwolenia ludu, walka ich jednak nie mogła odnieść zwycięztwa, bo ów lud zanadto już był upadł moralnie — stał się motłochem. Cajus Gracchus, który po śmierci gwałtownej brata poświęca się dla ludu, narażony z jednej strony na prześladowania możnowładców, a z drugiej na niezrozumienie przez motłoch i jego niewdzięczność — to postać prawdziwie tragiczna. Reprezentuje on ideę sprawiedliwości przez zewnętrzne okoliczności ubezwładnioną, miota się przeciw ciemnocie i samolubstwu, walczy bez nadziei zwycięztwa i ulega nakoniec cieleśnie. Postać Graccha, bohatera dramatu, narysował p. Kloss wybornie. Jest to człowiek taki, jakim go historja przedstawia; pełen zaparcia się siebie, apostolski. Pewna doza sentymentalności owiewająca tę postać nie ubliża historji i czyni ją tem sympatyczniejszą.

Jeden wszakże zarzut musimy zrobić tej postaci; powiedzieliśmy, że Gracchus reprezentuje ideę, tu powiemy więcej — on jest ideą. W całym dramacie, ani w jednej sytuacji nie zwycięża w nim ciało, walczy wprawdzie ze sobą, ale rzadko, a myśl zawsze w nim odnosi zwycięstwo. Pierwiastek dobry o tyle w nim przeważa, że walka jego z samym sobą wydaje się raczej ćwiczeniem sił intelektualnych, aniżeli walką prawdziwą. Wynik jej ani na chwilę nie może być wątpliwym. Skutkiem tego Gracchus p. Klossa jest w daleko większym stopniu poetyczną, niż dramatyczną postacią. Liryka w nim przeważa, za wiele jest filozofem, za mało człowiekiem czynu. Dalszym wynikiem tej względnej bierności Gracchusa, jest brak winy tragicznej, która jest koniecznym warunkiem dobrego dramatu. Gracchus od początku aż do końca sztuki postępuje szlachetnie podług swych zasad, nie uchybia jego, ani na chwilę, mimo to jednak ginie: śmierć jego jest dziejową, ale nie tragiczną koniecznością. Gdyby w rzeczywistości Gracchus był nie zginął, w dramacie p. Klossa powinienby po walce na Awentynie żyć jeszcze długie lata. Oprócz Gracchusa, wszystkie inne osoby stoją na

*

dalekim planie bardziej jednak od innych występują z tła trzy postacie: Papirjusza Karbona, przeciwnika, Sempronji, siostry i Kornelji, sławnej matki wielkiego rewolucjonisty, której największą pochwałą jest napis umieszczony na jej nagrobku: „mater Gracchorum.“ Prawda historyczna nakazywała autorowi z Karbona, jako przeciwieństwa Gracchusa, uczynić czarny charakter, nie nakazywała mu jednak czynić z niego szablonowego mordercy, jakich spotykamy pod dostatkiem w francuskich dramatach ludowych. Karbon kocha się w Sempronji, małżonce Scypiona Emiljana Afrykańskiego i Numantyjskiego i zabija za jej wiedzą jej wielkiego małżonka, ażeby przez to uścielić sobie drogę do jej wzajemności, Sempronja nie kocha Karbona, więcej jeszcze, nienawidzi go, a mimo to pomaga mu do zabójstwa małżonka, myśląc, że tego dobro ojczyzny wymaga. Stosunek jej do Karbona, jakoteż motywy jej czynu pozostają dla widza niesmaczną zagadką, a sprawa miłosna, którą autor wplątał w swój dramat jest niepotrzebną, epizodyczną, nie wpływającą przeważnie na akcję. W skutek tego Karbon przedstawia się nam jako *deus ex machina*, a postać Sempronji mimo pozornego jej heroizmu, zamiast uwielbienia budzi wstręt mimowolny. Nie jest ona spiżową republikańską niewiastą, która poświęca dla ojczyzny wszystko, i dla dobra ogólnego nie waha się nawet przed zbrodnią, ale szaloną zbrodniarką, u której motywów występnego czynu szukać należy w pomięszanym ustroju mózgowym. Korneljç, matkę Gracchów, przedstawił autor pod każdym względem wybornie: prawdziwy to typ rzymskiej matrony, która dla obowiązku potrafi nakazać sercu zamilknąć, kochającej wolność i ojczyznę wyżej nad to co matka ma najdroższego — nad dzieci. W obecnym wieku i stosunkach nazwanoby ją może bez serca, a jednak jej serce gorące i wielkie, pełne poświęcenia, jej miłość nie ogarnia tylko ścisłego kółka swych najbliższych, ale ludzkość całą. Ten właśnie szeroki zakres jej miłości, to poświęcenie macierzyńskiej miłości, która bądź co bądź w części jest samolubstwem — nadają postaci Kornelji cechę bohaterskości. Historja, a za nią sumiennie autor „Cajusa Gracchusa“ taką ją nam przedstawiają.

Podnieśliśmy najgłówniejsze zalety i wady dramatu p. Klossa, pozostaje nam jeszcze tylko pomówić o pomniejszych. Mimo, że autor niefortunnie wplątał w akcję pierwiastek miłosny i to w sposób trochę nielicujący z klasyczną szatą dramatu, dalej mimo, że intryga miłosna będąca zwykle w dramacie główną osią działania i utrzymująca widza lub czytelnika w ciekawości, jest epizodyczną, dramat p. Klossa jest bardzo zajmującym, wskutek żywo i zręcznie prowadzonej akcji. Będzie to największą pochwałą dla autora, skoro się zważy, że sprawa reform społecznych tego rodzaju np. jak podziału gruntów, o co głównie chodzi, jest rzeczą z samej siebie suchą i bardzo trudną do zajmującego opracowania w dziele scenicznem. Autor umiał jej nadać cechy ogólne, zajmujące wszystkich, a zręcznemi sytuacjami i scenami prawdziwie dramatycznemi utrzymuje ciekawość w ciągłem naprężeniu. Jednej wszakże rzeczy pochwalić nie możemy, a mianowicie zbyt pobieżnego traktowania sprawy odbudowania Kartaginy, którą trzeba było dokładnie wyłuszczyć, ażeby wykazać, dla czego była ona tak niepopularną i dla czego projekt Gracchusa stał się w ręku jego nieprzyjaciół ostrą bronią przeciw niemu. Nie trzeba zapominać, że dzieło sceniczne pisze się dla kół jak najszerszych i że zaledwie w dziesiątej części publiczności przypuszczać można tyle znajomości historji, ażeby z kilku ogólnikowych słów zrozumiała, o co rzecz chodzi.

Djalogiem włada p. Kloss bardzo dobrze: jego wiersz (biały) jest silny, jędrny, często poetyczny: szczególnie dobrze udały mu się sceny, w których działa grupami, co często u wytrawnych dramaturgów, stanowi słabą stronę. Dodać nakoniec winniśmy, że tendencja „C. Gracchusa“ jest wybitnie postępową i że zręczne aluzje do teraźniejszości nie psują historycznego kolorytu.

Witając p. Klossa jako zdolnego dramaturga wyrażamy nadzieję, że nie da muzie swej zamilknąć i wkrótce zapozna publiczność z jaką nową pracą, do której radzimy, ażeby wziął temat z historji ojczystej. Po co nam szukać tematów w obcych dziejach, skoro mamy ich dosyć we własnych? Polak na scenie przemówi skuteczniej do polskiej publiczności, aniżeli nawet tak wielki człowiek, jak Gracchus prawiący nam z rzymska po polsku o wolności!

(Dok. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

Antoni Prochaska.

(Ciąg dalszy).

Plan króla i jego postanowienie ożenienia się z Granowską musiało być tajemnie przeprowadzone, jeżeli król nie chciał narażać się na silne przeciwko temu wystąpienie panów koronnych. To też trzymano je w początku w ścisłej tajemnicy, bo jak Długosz zaręcza, gdyby się byli panowie i prałaci zaraz o tem dowiedzieli, nigdy by nie byli zezwolili na ten związek. Gdy atoli król odjeżdżając z Lubomli obdarzył Elżbietę szubami i innemi cennemi podarunkami, zwrócili uwagę domyślniejsi na tę jego niezwykłą hojność. Przy końcu marca (tegoż 1417 roku) bawi Jagiełło u Elżbiety w Łańcucie, gdzie go przez dwa dni wspaniale gościła. Ze Lwowa, dokąd był pojechał w celu obchodzenia tamże Wielkiejnocy, wysłał już Mężyka z Dąbrowy do Witołda, aby mu doniósł, że król zamierzył z Granowską wejść w śluby małżeńskie. Na dzień pierwszego maja naznaczył zjazd panów koronnych do Sanoka, gdzie też z Lwowa przybył. Przyjechali także Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski, Wojciech Jastrzębiec biskup krakowski, Jan biskup Chełmski, i panowie: Krystyn z Ostrowa kasztelan, Jan z Tarnowa wojewoda, Piotr Szafraniec podkomorzy, krakowscy, tudzież marszałek królestwa Zbigniew z Brzezia. Nie wiedzieli oni dotychczas nic o królewskich zamiarach. Gdy atoli i Aleksandra „swatka małżeństwa“ i Elżbieta przybyły, wyjawił im król swój zamiar. Poczęli tedy niektórzy odradzać królowi, inni znowu przedstawiali mu, że Elżbieta dla wieku, dla pochodzenia jako poddanka, i jako wdowa po trzech mężach niestosowną byłaby dlań małżonką. Lecz widząc że król jest upornym i niezachwianym w swoim przedsięwzięciu jedni ustąpili, drudzy zezwolili. Dnia też pierwszego maja odbył się w kościele Sanockim ślub podstarzałej już pary małżeńskiej. [1])

Zapytujemy teraz, czy mogli współcześni przyklasnąć temu czynowi Jagiełły i czy relacja Długosza, świadcząca że zamiar i czyn królewski jak najniechętniej przyjęto do wiadomości, że tenże jak najgorsze wrażenie sprawił w Polsce, jest prawdziwą — i czy może być konterfektem tejże właśnie niechęci.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości i temu nikt nie przeczy, że król wziął zwiędłą i podstarzałą, cierpiącą na suchot zarodki, wreszcie swoją poddankę i że to nie mogło się podobać Polsce i Polakom. Miłośnikom ojczyzny mogło to małżeństwo łzy wycisnąć — bo też opłakiwali w tym wypadku zaćmienie blasku korony Polskiej. [2]) Polacy więc sarkają na nierówność małżeństwa i na mogące ztąd wypłynąć złe skutki na polu polityki, [3]) Niejako w duchu ówczesnej opinji określa Długosz możliwe złe skutki temi słowy. „Przeczuwali bowiem Polacy, że to małżeństwo pobudzi nieprzyjaciół i zawistnych królestwu i nastręczy im sposobność do wyszydzania króla i królestwa. Co się też i stało, gdyż Krzyżacy, dowiedziawszy się o tem, rozesłali tę wiadomość do koncylium Konstancyeńskiegó, do cesarza Zygmunta ku zniesławieniu króla i Polski.... a posłowie polscy tamże na koncylium będący, zafrasowali się i opłakiwali wspólną sromotę ojczyzny“. [4])

Tak opisuje Długosz ówczesną opinię w Polsce. Czyż opowiadanie jego jest tu niewiarygodnem? Czyż nie rozumie się samo przez się, że Elżbieta z zaletami, o których prawdziwości przekonaliśmy się, nie mogła, jako żona króla, zadowolić Polaków? To też jest prawdopodobnem, że i Witołd szukający na Wschodzie koligacji dla króla, również niemile przyjął wiadomość o czynie jego, że uznał ten związek za niegodny nietylko króla, ale wspólnego im domu książęcego. [5]) Witołd słusznie sądził, iż król mógł przez połączenie się ze znakomitszym domem, sobie i krajowi wielkie zjednać korzyści, zarzucał że nie zasięgnął rady ani jego ani panów koronnych, jednakowoż dopuścił królowi spełnić jego zamiar i życzenie. [6])

To zniechęcenie Polaków do Elżbiety znalazło najdobitniejszy swój wyraz w Wielkopolsce, a to wtedy, gdy król zjechawszy się z Witołdem celem ułagodzenia jego gniewu i obrazy zapowiedział z Rusi koronację królowej na dzień św. Elżbiety t. j. na 19 listopada tegoż 1417 roku.

Teraz dopiero począł warzyć się gniew w umysłach szlachty polskiej i już wnet miał się objawić w manifestacji o której zaraz pomówimy. Głównie poczęli się obecnie srożyć Wielkopolanie, a to jak trafnie zauważył Zeissberg, który pierwszy zwrócił na ważny ten fakt baczną uwagę, wtedy dopiero gdy małżeństwo

---

[1]) Długosz XI. 378, 379; daty zgadzają się zupełnie obacz n. p. kalendarz krakowski u Bielowskiego, Monumenta. II. 937 i Dł. 379. Do tych którzy na małżeństwo zezwoli mógł zdaniem naszem należeć Jastrzębiec, ów według Cara największy wróg Elżbiety, gdyż widzimy go później często przebywającego na dworze królowej; obacz rachunki wydane przez Zeissberga.

[2]) Dł. XI. powiada on o blasku korony.. .. qui propter victorias excelsas superioribus annis zelatas, omnes fere oras Catholicas et barbaras occupaverat, ex illo uno ignobili et praecipiti connubio concidisse...

[3]) ibidem

[4]) ..commune improperium Regni deplorabant.

[5]) Dł. XI. 379.

[6]) — ibidem... passus est tamen Regem ad ultimum propositum suum exequi.

królewskie przez koronację Elżbiety, na politycznej stronie zyskało znaczenie.

Otóż powiada Długosz, że gdy koronacja Elżbiety na oznaczonym dniu miała przyjść do skutku, odradzali jej prawie wszyscy. Najmocniej jednakowoż opierał się temu (Wielkopolanin) Sędziwój Ostroróg wojewoda Poznański [1]). Na innem znowu miejscu opowiada, [2]). że gdy król z nową małżonką przyjechał z Rusi do Nowego Sącza, przybyła tam na powitanie córka jego Jadwiga, ale „wielce smutna i strapiona.“

Lakoniczność Długosza w przytoczonych zdaniach jest wielką — i nierozumielibyśmy jej, gdyby nam się nie przechował dziwny akt krzyżacki, który nietylko że potwierdzi prawdziwość słów Długoszowych, ale przy pomocy innych współczesnych zapisków, uczyni je dla nas zrozumiałemi. Dowiadujemy się z tego współczesnego listu krzyżackiego [3]) że Wielkopolanie nie wysłali nawet posłów na koronację Elżbiety i że przybyło tylko kilku panów jak Maciej z Wąsosza kasztelan Kaliski, Sędziwej Ostroróg wojewoda Poznański, Janusz Kościelecki, a i ci jak list powiada: von Irs selbis wegen..... und nicht von der gemeyne“. Domagają się oni, pomiędzy innemi rzeczami, aby im król pozwolił koronę przenieść do Gniezna. Elżbiety nie chcą wcale uznać za królowę — a popierają swoje postępowanie tem, że gdyby przeciwnie uczynili, mieliby dwie królowe, czego w Polsce nigdy nie bywało. Przed czterma bowiem laty, mówią Wielkopolanie, przysięgliśmy wierność Jadwidze, która jest prawowitą następczynią tronu, (azatem ona jest królową naszą). Motywują oni dalej swoje postępowanie tem, że gdyby teraz uznali Elżbietę mieliby dwie królowe z czegoby w Polsce powstać mogły wielkie rozterki.

Na pierwsze ich żądanie dotyczące przeniesienia korony z Krakowa do Gniezna, odpowiedzieli panom Wielkopolskim Krakowscy, że Kraków równie jak i Gniezno są własnościami króla, że więc wolno królowi tam mieć i koronę gdzie mu się podoba. Z tego powstała pomiędzy Wielkopolanami a panami Małopolski żwawa sprzeczka.

Co się tyczy nieuznania Elżbiety za królowę, sam król musiał uznać trafne argumenta panów Wielkopolskich i rzeczywiście w owych czasach niepotrzebowały one dalszych objaśnień. To też poczyna król prosić, aby pomimo to uznali Elżbietę, przynajmniej we własnem imieniu. Na co atoli odpowiedzieli: Miłościwy królu, to być nie może! — Uniesiony gniewem Jagiełło wypowiedział te słowa: Kiedyście ostatni raz byli u nas w Korczynie, prosiłem was. abyście puścili mię z żoną moją do mego dziedzicznego państwa a córkę moją Jadwigę posadzili na tronie i wydali za mąż za kogo chcecie; abyście króla mieli. O to i teraz proszę.

Wielkopolanie atoli i temi słowy nie dali się przebłagać. I owszem poczęli wyrzucać niski stan królowej, iż w obec zgonu króla, mieli by dwie prawowite królowe — a przecież niechcieliby mieć królowę osoby takiego stanu, z jakiego w Polsce nigdy nie bywały. Wielkopolanie odjechali — a koronacja przeciez przyszła do skutku.

(C. d. n.)

---

[1]) Dł. XI. 382

[2]) Dł. XI. 381 i „... angustia plena et moerore venit.“

[3]) Drukowany u Raczyńskiego. Cod. dipl. Lithuan 385.

POGADANKI.

XXIII.

Popłoch ogromny na Parnasie; muzy tulą się po kącikach z przeraźliwym piskiem, a Apollon, któremu przerwano poobiednią drzymkę, w szlafmycy wygląda z okna i pyta, co się stało? Z dalekiej doliny, hen, za północnym stokiem Karpat, zgrzytanie piór i bryzganie inkaustu obija się aż o mglisty szczyt Olimpu. Walczą pół.... bogi, i — ludzie. Co się stało?

Z ręką na domniemanym przybytku serca odpowiadam na to pytanie, że nie wiem, co się stało. Mówią, że z poza płotu *Gazety Narodowej* padł strzał na pedagoga, spokojnie idącego swoją drogą. Wskutek tego *Dziennik Polski* zerwał się i straszliwie *wytatomirował* p. Agatona Gillera; ten zaś odstrzeliwszy się najpierw z „petitowego“ pistoletu, zatoczył, odprzodkował i wymierzył na przeciwnika fejletonową mitrajlezę, i palnął z niej pięć szpalt „garmondu,“ zawierających w 310 wierszach 1.860 słów, a 10.850 liter. Ponieważ atoli nie są to ołowiane czcionki, ale tylko czarne tychże ślady na miękkiej bibule, więc p. Tatomir żyje jeszcze i ma się dobrze. Oto wszystko, co wiadomo o tym sporze. Z wielkiej ilości wierszy, słów i liter wnosi czytająca publiczność, że chodzi tu o coś niezmiernie ważnego. Umysły rozgorączkowane wypadkami na Wschodzie, przejęte są trwogą. Jeżeli *chodżah* i *softah* (profesorowie i uczniowie) targnęli się tam na zastępcę Proroka, to kto wie, czy u nas nie będzie jeszcze gorzej, czy rozsierdzeni pedagogowie nie pójdą dalej, i samego już proroka nie zamkną w „Starym Seraju,“ w tym przybytku emerytowanych sultanek i innego rupiecia płci żeńskiej!

Losy ludzkie są nadzwyczaj zmienne, jak zapewnia sultan Abdul-Azis. Dziś rozkazujesz miljonom, i zdaje ci się, że źródło mądrości wytryska w twojej głowie. Jutro, te same miljony zaliczają cię w poczet *krujom-duraków* i osadzają w gronie matron, znanych popularnie staremi babami. Ludzie dziwią się trochę, jakim sposobem mógłeś im kiedy wydawać się wielkim i mądrym, a potem zapominają o tobie. Jako jedyna pociecha, zostaje ci arkusz gazety, na którym możesz wypowiadać twoje żale u dołu, u góry, nawet w inseratach. Ciekawa rzecz, czyli też Abdul-Azis nie zostanie współpracownikiem jakiego organu tureckiego, i czyli nie zechce mścić się na *chodżach* dowodząc, że źle wychowują młodzież muzułmańską? Współczucie moje zapewnione mu jest z góry, równie jak i w obecnym, bliższym wypadku nie mogę utaić mojego ubolewania, że przewodnicy *softów* galicyjskich tak nielitościwie obchodzą się z p. Gillerem. Mac-Mahon powiedział, że Francję zgubiły: *la phrase, la pose, et le manque du respect.* Jest-że to rzeczą z pedagogicznego punktu widzenia właściwą, spostrzegłszy u kogo *la phrase et la pose,* dopełniać tej miary błędów, okazując mu *le manque du respect?* O, *Szkoło,* o, *Dzienniku Polski!* Gubicie ojczyznę i ściągacie na nią gniew niebios tym sposobem, a co gorsza, n u d z i c i e ją ogromnie w przymierzu z *Gazetą Narodową:* bo jeżeli mniemacie, że interesuje się ona tak mocno opinją p. Gillera o „umiejętnej nauk uprawie,“ to jesteście w grubym błędzie.

* * *

Ojczyzna, NB. najściślejsza nasza lwowska, interesuje się w tej chwili najwięcej teatrem letnim, obok ogrodu Miejskiego, w którym 1 bm. rozpoczęły się przedstawienia. Jużci każdy woli widzieć „Nitkę jedwabiu“ po zniżonych cenach, niż po zwykłej cenie dowiadywać się, czyli p. Samolewicz miał lub nie miał powodu czuć się dotkniętym, gdy p. Kuryłowicz utrzymywał, że między rozprawami dydaktycznemi znajdują się takie, które są wątpliwej wartości? Obojętność ogółu na tę kwestję dochodzi do tego stopnia, że gdyby teraz dla odmiany p. Samolewicz chciał twierdzić, że zdarzają się na świecie nietęgie rozprawy dydaktyczne, a p. Kuryłowicz zaprzeczał temu, niktby nawet nie spostrzegł tej zmiany frontu. Obojętność ta rozciąga się także i na „biuro redakcyjne“ p. Gillera, do którego p. Tatomir czynić miał alluzje w „intencji policyjnej,“ nazywając „biurem narodowem,“ a nawet „trybunałem“. Według p. Gillera, z alluzyj tych wynikać miała wskazówka, że jest on „emigrantem.“ Opinia publiczna zostawia to do rozstrzygnięcia p. Dobrzańskiemu, który najlepiej będzie wiedział, czyli biuro *Narodówki* jest lub nie jest biurem n a r o d o w e m, i czyli *Narodówka* zasłużyła lub nie na nazwę t r y b u n a ł u. Co się zaś tyczy niebezpiecznej, jakkolwiek trudnej do „wypośrodkowania“ wskazówki, iż p. Giller jest emigrantem, to mogę zaręczyć, iż począwszy od hr. Andrassego, a skończywszy na najniższym szczeblu hierarchji urzędniczej, żaden reprezentant władzy nie stracił wskutek niej snu, apetytu, ani równowagi umysłu. Natomiast mógłby niejeden Galicjanin stracić tę równowagę wobec następujących słów p. Gillera:

„Po powrocie z tułactwa, przyszło mi niestety zrobić to smutne doświadczenie, iż nawet tu w ojczystym kraju nie ma dla nas uczuć rodzinnych pomiędzy ludźmi uczciwymi i patrjotami, ... że nawet właśni rodacy w sercach swoich nie dali nam prawa obywatelstwa, któreby ich skłoniło do traktowania nas na równi z tutaj urodzonymi, i niedozwoliło w każdej naszej najniewinniejszej czynności podejrzywać biur narodowych z tajemnymi stróżami“ i „trybunałów“ przyjmujących donosy i rozdających „patenty na patrjotów.“

Galicjanin wszakże, jak każdy Polak, odznacza się takim zapasem dobroczynności, że go nawet podobne zarzuty ze strony p. Gillera rozgniewać nie zdolają. Część tychże położy on na karb prawdziwej i słusznej goryczy, jaka zatruwa serce każdemu wygnańcowi, a część na karb choroby, którą psychiatrowie ochrzcili „megalomanią,“ i która zdaje się polegać na jakiejś anormalnej konstrukcji oka, w skutek której pacjent, patrząc w siebie widzi się większym niż jest w istocie, a patrząc na zewnątrz, widzi świat cały w pomniejszeniu nieskończenie drobnem. Jeżeli wskutek tego pacjent ma się za Guliwera między Liliputami, i jeżeli Liliputy tego uznać nie chcą, to przypisuje on im „brak uczuć rodzinnych“; a jeżeli kto broń Boże uśmiechnie się to już chyba „nie traktuje go na równi z tutaj urodzonymi.“

* * *

Po teatrze letnim, drugie miejsce w uwadze publicznej zajmują obecnie wybory do Rady miejskiej, a trzecie Wystawa obrazów, bardzo jeszcze uboga, ale też jeszcze nie skompletowana. Pocieszającym jest objaw, że zakupiono już nie mało utworów z pomiędzy tych, które są wystawione. Matejko nic nie nadesłał, są natomiast trzy

jego wizerunki: portret olejny malowany przez Jabłońskiego, biust p. Barącza, i medaljon. Miło nam oglądać twarz mistrza, ale jeszcze milej byłoby nam widzieć jaki nowy utwor jego pęzla.

Jan Lam.

Wystawa powszechna w Filadelfji.

I.

Wystawa powszechna w Filadelfji urządzona na pamiątkę stuletniej rocznicy wyzwolenia Ameryki została nareszcie otwartą wśród huku dział, świstu i hałasu maszyn, hymnów na cześć Niepodległości. Niczem godniejszem uczcić takiej rocznicy, takiego święta nie było można. Naród co zdobywszy sobie wolność, przez lat sto potem wszystkie swe siły, całą swoją pracę na zbudowanie kraju poświęca, na stworzenie drogą pokojową Rzeczypospolitej najsilniejszej i najbogatszej na ziemi, na nieporównany rozwój przemysłu, naród taki nie tylko samemi toastami, hukiem armat i modlitwą cześć oddawać winien pamięci tych wielkich co mu życie dali. To też zebrał co miał najlepszego i pokazał światu mówiąc: Patrzcie, oto cośmy przez sto lat zrobili! Z garstki naszych ojców urósł lud pięćdziesięciomiljonowy, wolność nigdzie przez ten czas tak szanowaną nie była, postęp nigdzie się o tyle nie posunął, nikt tylu kolei nie posiada, żebraków nie mamy wcale, a oto macie cośmy na polu przemysłu zrobili, macie machiny, naszą potęgę, broń naszą, macie nasze rolnictwo, nasze szkoły. Oto dowody, żeśmy szli drogą wskazaną nam przez tych co nam wolność dali!

Cześć temu ludowi! Cześć im od tych, których ojcowie krew za niepodległość Ameryki przelewali, a których dzieci od stu lat promyka wolności nie mają i obchodzić muszą w cichości i rozprószeniu stuletnią rocznicę swego rozbicia i swej nędzy!

* * *

We środę d. 10 bm. po długim deszczu rozpogodziło się w Filadelfji nad ranem, i słońce pokazało się jakby dla przywitania wystawy i tłumnie zgromadzonej ludności. O wschodzie słońca zadzwoniono w „Świątyni niepodległości“ i w ślad za tem ozwały się w całem mieście dzwony, powywieszano chorągwie różnych narodów i miasto przywdziało poważną i uroczystą szatę! O godzinie wpół do ósmej, na Broadstreet zebrała się piechota, artylerja, majtkowie i uformowawszy się ruszyli wszyscy przed pomieszkanie prezydenta Granta. Tłumy ludu zapełniały ulice Filadelfji. Prezydent z ministrami wsiadł do powozów i udał się przeciskając przez tłumy na wystawę. Tymczasem ulice napełniały się coraz bardziej, nadzwyczajne pociągi co chwilę przychodzące ze wszystkich stron wyrzucały na ulice coraz nowe tłumy i rzec można cała Filadelfja była nabita. Prezydent z orszakiem obszedł uroczyście „Memorial Hall“ pawilon pamiątkowy i wszedł na główną estradę z tymi, którzy razem z nim otworzyć mieli wystawę. Widzów zebrało się około 50.000. Wspaniały był widok tych tłumów rozentuzjazmowanych uroczystością.

Pomiędzy pawilonem pamiątkowym a gmachem przemysłowym wznosiły się ogromne trybuny przepełnione wysokimi urzędnikami państwa, gubernatorami stanów, sędziami, członkami kongresu, konsulami i innymi dygnitarzami. Cesarz i cesarzowa brazylijscy mieli osobną trybunę, na co Amerykanie nie z zupełnem zadowoleniem patrzyli, lecz mimo to przyjmowali ich bardzo grzecznie i serdecznie.

Ukazanie się Granta na estradzie przyjęto hucznemi okrzykami. Kapela z 160 członków złożona odegrała hymny wszystkich narodów, które wzięły udział w wystawie.

Według programu przystąpiono do odegrania marszu inauguracyjnego napisanego w tym celu przez Ryszarda Wagnera. Naturalnie dzieło mistrza przebijającego nowe tory (?) w sztuce, spotęgowane otoczeniem, zrobiło ogromne wrażenie. Następnie biskup Rev. Simpson odmówił modlitwę, a chór tysięczny z towarzyszeniem orkiestry i organów odśpiewał hymn skomponowany przez G. Witthiera do słów K. Payne'a z Massachusetts. Mówił potem p. John Welch prezydent finansowego wydziału wystawy i śpiewano drugą kantatę na cześć rocznicy. Prezydent Stanów przemawiał potem jak następuje:

„Ziomkowie! Z powodu rocznicy wiekowej postanowiono zebrać w Filadelfji i oddać pod sąd świata to, cośmy zdobyli na polu przemysłu, sztuk pięknych, literatury i umiejętności, tudzież i z wielkiego obszaru rolnictwa i handlu, żebyśmy mogli dokładnie ocenić zalety i wady tych naszych zdobyczy i żeby ukazać światu nasze gorące pragnienie utrzymywania przyjaźni między członkami tej wielkiej rodziny narodów. Zaproszono ukształconą ludność świata rolniczą, handlową i przemysłową, aby przysłała tu odpowiednie okazy swej zręczności, i aby ustawiła je pod równemi warunkami w przyjaznem współzawodnictwie obok naszych. Zaproszeniu temu wspaniale uczyniono zadość; składamy za to zagranicznym wystawcom najserdeczniejszą podziękę. Piękność i pożyteczność tych zbiorów oddaną dziś będzie przez urzędników wystawy, waszemu nadzorowi. Przyjemnie jest nam wiedzieć, że oglądanie wzorów zręczności wszystkich narodów przyniesie wam wzniosłą radość, i doda wam cennej praktycznej znajomości tylu znakomitych rezultatów oświeconych narodów godnych podziwienia. Przed stu laty ten kraj nasz tylko częściowo był uporządkowany. Potrzeby koniecznie zniewalały nas używać środków naszych przedewszystkiem na zbudowanie domów mieszkalnych, fabryk, okrętów, warstatów okrętowych, spichlerzy dla towarów, kanałów, machin itp. Większa część szkół, kościołów, bibljotek i przytulisk stanęła podczas tego stulecia. Obciążeni temi pierwszemi niezbędnemi pracami, których nie można było odwlekać, zdobyliśmy się nareszcie w kierunku rywalizacji z dawniejszemi i dalej posuniętemi narodami w prawnictwie, w teologji, w umiejętnościach, literaturze, filozofji i sztukach pięknych, zdobyliśmy się, mówię, na to co nam ta wystawa pokaże. Chlubiąc się tem co mamy ubolewamy, że nie zdobyliśmy się na więcej. Jednakże nasze zdobycze były na tyle wielkie, by ułatwić mogły ludności naszej uznanie zasług wszędzie, gdzie się z niemi spotkano. A teraz, współobywatele, spodziewam się, że troskliwe rozpatrzenie się w wystawionych przedmiotach nie tylko napełni was szacunkiem głębokim dla zręczności i pracy innych narodów przyjaciół naszych, lecz także zadowoli was to, na co nasza własna ludność przez lat sto się zdobyła. Wzywam was, byście czcigodnym komisarzom wielkodusznie pomagali, by zapewnić świetny skutek tej wystawie międzynarodowej, i by pobyt zagranicznych gości naszych, których serdecznie witamy, był im nietylko pożyteczny, lecz także i przyjemny. Ogłaszam, że wystawa międzynarodowa otwarta!“

Hucznemi oklaskami i okrzykami przyjęto mowę Granta, który zaraz potem w towarzystwie cesarza brazylijskiego udał się do pawilonu machin. Na dany znak puszczono w ruch główną maszynę parową Corlissa i cały szereg o brzymi maszyn, o kołach i ramionach potwornych zaczął się ruszać z hałasem i świstem.

Od tej chwili wystawa została otwartą dla publiczności. Za wejście płaci się 50 centów amerykańskich. W niedzielę według zwyczaju angielsko-amerykańskiego jest zamknięta i najusilniejsze starania dzienników nie zdołały przełamać woli kongresu, chociaż jako motyw podawano to, że niedziela jest jedynym dniem swobodnym u robotników.

Podajemy tutaj niektóre daty co do ceny mieszkań i ich ilości podane przez tak zwaną „Centennial comission:“ Filadelfja jest przygotowana przyjąć za umiarkowane ceny 150.000 gości i wygodnie wszystkich ulokować, gdyby się okazała tego potrzeba, znalazłoby się miejsce i na 200.000. Ceny pomieszkań hotelowe wynoszą od $1^1/_2$ do 5 dollarów na dzień. W tak zwanych "boarding houses" od $1^1/_2$ do 2 d. Agencja najmu mieszkań urządzona przy wystawie ogłasza mieszkania z objadem i kolacją za $2^1/_2$ dolary, a bez jedzenia za $1^1/_4$. Ta ajencja rozporządza 20.000 mieszkań; biletów można kupić we wszystkich główniejszych miastach po drodze i nawet w pociągach kolei żelaznej zbliżających się do Filadelfji.

Przy pomocy pary i koni, 20.000 osób może być sprowadzonych w przeciągu jednej godziny, z którejkolwiek części miasta, do obrębu wystawy. W razie potrzeby liczba ta urośnie może do 40.000. Pasażerowie przybywający do Filadelfji, po którejkolwiek linji kolei żelaznej, w przeciągu minuty mogą już być na wystawie. Ceny pociągów spacerowych będą znacznie zniżone.

BIBLIOGRAFJA.

Angielska.

— Notes of Travel in South Africa by P. K. John Anderson. — London 1876.

Anderson już poprzednio dał się poznać przez opis wycieczki swojej do jeziora Nyami i rzeki Okawango. Teraźniejszy dziennik zawiera żywo opisane wypadki z pobytu Andersona w Afryce południowej. Opis rozpoczyna się od 1861 r. — gdy autor mieszkał w nabytej przez siebie stacji w Oczymbingo. Tu poświęcił się handlowi bydłem i kością słoniową, które dostarczał do Kapu. Wkrótce jednak nastąpiła wojna. Plemię Namarat powstało przeciw władnącemu nad niem plemieniu Namakuus. Ruch niepowiódł się, a Namakusy, zwyciężywszy rokoszan, podejrzywając Andersona, zrabowali pędzone przez niego stada i kilku z jego służby zabili. Anderson stanął teraz na czele Namaratów i zniósł wojsko ciemięzców. Otrzymał jednak w tej wyprawie kilka ran od kuli i uległ dozgonnemu kalectwu — w skutek czego w. r. 1867 na ręku wiernego sługi skonał. — Dzieło o którem mówimy, zostało wydanem po śmierci podróżnika. Zawiera ono malownicze obrazy z czynnego żywota Andersona, oraz żywym kolorytem nakreślone etnograficzne rysy ludów Południa. Pyszna wegetacja, wspaniałe drzewa owocowe i leśne, nieskończona ilość ptactwa, ciągnące się bez kresu bory afrykańskie, wywołały z piersi chorego już Andersona wykrzyk. „Na ziemi jest tylko jedna Ondonga!“

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Zacharjasiewicz Jan. — Na chlebie żony. Powieść w 8ce str. 299. Warszawa 1876. Zł. 2.

Bajki Fenelona. Tłumaczone przez Stanisława Hr. Rzewuskiego, w 8ce. str. 166. Warszawa 1875. Zł. 1·25.

Blumenthal Oskar. — Von Hundertsten in's Tausendste. Skizzen. 2ter Auflage 8. Leipzig 1876. Zł. 1·80.

Dohm Hedwig. — Der Frauen Natur und Recht. Zur Frauenfrage. Zwei Abhandlungen über Eigenschaften und Stimmrecht der Frauen. 8. Berlin 1876. Zł. 1·80.

Ysabeau A. — Lavater, Garus, Gall. — Zasady fizjognomiki i frenologji. Wykład popularny o poznawaniu charakteru z rysów twarzy i kształtu głowy. Z francuskiego przetłumaczył i uzupełnił Wł. Noskowski. Dzieło ozdobione 174 drzeworytami, w 8ce. str. 274. Warszawa 1876. Zł. 2.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— „Czas“ krakowski gniewa się na nas, mówiąc, że zarzucamy mu, jakoby wespół z „Przeglądem polskim“ był subwencjonowanym przez rząd rossyjski! Co do nas wiemy, że podobnej rzeczy nie zarzucaliśmy tym organom, choćby dla tego tylko, że klika, która je utrzymuje, ma dosyć własnych pieniędzy, ale z tem wszystkiem ani chwili nie wątpimy, że „Czas“ z całym zastępem swoich krakowskich i lwowskich satelitów pracuje na ziemi polskiej *pour le csar de Russie*. Taka niestety jest ich polityka.

— Panna Marja Deryng, ulubiona artystka i wychowanka naszej sceny, opuszcza Lwów może na bardzo długo, ponieważ zaangażowała się stale do Warszawy, gdzie według tamtejszych dzienników wystąpi pierwszy raz już d. 1go Lipca rb. Do ról dramatycznych była ona siłą nieposolitą, i wątpimy by dyrekcja mogła ją prędko inną zastąpić.

— Benefis p. Woleńskiego wypadł nadspodziewanie. Dawano „Wilhelma Tella.“ Mimo ze po czterdziestodniowym deszczu pierwszy dzień pięknej pogody wabił wszystkich na wolne powietrze, teatr

był napełniony. Między widzami znajdowało się wielu Niemców i Izraelitów. Benefisanta witano bardzo sympatycznie i wywołano kilkakrotnie. A więc i dramat może się podobać. Od ubiegłego piątku przedstawienia będą się odbywały w prowizorycznym teatrze letnim, obok ogrodu Miejskiego.

— Podniesioną przez nas myśl konkursu dramatycznego we Lwowie, poparł „Dziennik Polski" ale „Gazeta Narodowa" milczy. Dla czego? Radzibyśmy usłyszeć jakie są tego powody.

— Na koncercie, danym d. 23go maja, na korzyść biednych studentów gimn. akad. słyszeliśmy ponownie p. Konopaska, kompozytora, o którym jużeśmy raz wspominali. Odegraniem dwóch nowych, wyłącznie na ten koncert skomponowanych „Słowianek:" a) Z naszych gór i b) Z naszych dolin, wprawił wszystkich obecnych w zachwyt, który się zamanifestował hucznemi oklaskami. O samych „Słowiankach" nie na czasie teraz się rozpisywać, dodamy tylko, że „Dziennik Polski" szerzej o nich napisał, przyrównywując je do dzieł nieśmiertelnego Chopina. Co do gry samej zanotujemy, że p. Max Konopasek wytrawnym spokojem, prostotą i wielką biegłością, o wiele przewyższa owych pjanistów, którzy urządzając na własną rękę koncerta, muszą się produkować pod pustemi krzesłami.

— Jul. Kossak wykończył nową akwarelę większych rozmiarów przedstawiającą elekcję króla Jana Kazimierza pod Wolą. Prymas Maciej Lubieński objeżdża pole elekcyjne zbierając wota. Artysta przedstawił ostateczną już chwilę, kiedy całe zgromadzenie elekcyjne, zgromadziwszy się na wybór Kazimierza, wnosi radosne okrzyki na cześć elekta. Radość i otucha promienieją na wszystkich twarzach; wiele z nich artysta skopiował ze współczesnych portretów, tak iż na pierwszy rzut oka poznajemy w nich osoby, które w chwili ówczesnej dziejów Polski przeważną grały rolę, jak Lubomirski, Kazanowski, Ossoliński, Radziejowski i wielu innych.

— Wyszły dwa dzieła traktujące o hygienie: jedno w Warszawie p. tyt. „Krótki rys hygieny" dla ludu wiejskiego jako podręcznik dla plebanów wiejskich, nauczycieli szkół elementarnych przez Sebastjana Rosickiego; drugie we Lwowie p. tyt. „Hygjena czyli Nauka o zachowaniu zdrowia Dr. Bergera". Obydwa te dzieła zasługują na powodzenie.

— Reżyserem dramatu i komedji w teatrach warszawskich zamianowany został w początku kwietnia rb. p. Władysław Bogusławski, wnuk Wojciecha Bogusławskiego.

— Zygmunt Glogier pracuje nad dziełem, w którem będą pomieszczone nazwiska wszystkich miast, miasteczek i wsi dawnej Polski. Cierpliwy badacz zebrał już dotąd przeszło 30.000 nazw.

— Paryski teatr „Gaité" otrzymał od rządu subwencję i przeistoczył się w „Théâtre National Lyrique." Nowością, którą w nim pierwszy raz przedstawiono, była pięcioaktowa opera „Dimitri," muzyka Wiktora Joncières, słowa Bornier i Sylvestre. Opera została dobrze przyjętą.

— W kółku warszawskich prawników i ekonomistów krążą się czynnie około zamiaru wydawnictwa „Encyklopedji nauk społecznych."

— Wkrótce ma wyjść z druku krótka „Encyklopedja dla młodzieży" opracowana przez L. S. W. współpracownika wielu pism warszawskich. Wydanie ma być ozdobione drzeworytami.

— Piękny i wielki zbiór ręcznych rysunków angielskiego Thorwaldsena, Johna Flaxmana, znajdujący się w przechowaniu University College londyńskiego, pojawił się w doskonałej reprodukcji profesora sztuk pięknych w Cambridge p. Udneja Colvina, w pięknem wydaniu p. t. „The Drawings of Flaxman in University College, antotypes from the originals."

— „Jngo" pierwsza opowieść z Freytaga „Przodkowie", została przerobioną na libretto operowe, do którego muzykę skomponować postanowił Dr. Lorenz dyrektor tow. muzyczn. w Szczecinie.

— W Paryżu pojawił się 15 maja pierwszy numer nowego katolickiego pisma „La Défense," stojącego pod bezpośrednim kierownictwem biskupa Dupanloup.

— Z dopiero co wyszłego dzieła p. t. „Women in the reign of Viktorja", dowiadujemy się, że w Anglji jest 1077 kobiet zatrudnionych handlem księgarskim, 7557 introligatorstwem, 741 w drukarniach, jako zecerki, 731 sprzedażą dzienników i ajenturami a 135 jako bibljotekarki. Oprócz tych 10241 kobiet w tym kierunku zarabiających posiada jeszcze Anglja 255 autorek.

— W Brukselli odbył się niedawno kongres botaników i rolników. Na propozycję profesora Edwarda Morran kongres postanowił wydać katalog, w którym zostaną pomieszczone nazwy wszystkich roślin, znanych dotąd w Europie. Katalog będzie nosił tytuł: „Hortus Europaeus." Rząd belgijski na pokrycie kosztów wydawnictwa przeznaczył po 10 franków za każdą stronicę. Morren mniema, że katalog zostanie przedłożony najbliższemu kongresowi, który w roku przyszłym zbierze się w Amsterdamie.

— Dwa wielkie obrazy Rubensa, portrety: Karola Śmiałego burgundzkiego i Filipa Pięknego austrjackiego, ojca cesarza Karola V, wystawione są obecnie na sprzedaż w Paryżu.

— Francuska komisja sztuk pięknych postanowiła przeznaczać corocznie sumę 80.000 franków jako zachętę do rzeźby i obracając takową na nagrody za wystawione dzieła sztuki rzeźbiarskiej lub na zakupy i obstalunki.

Odkrycie naukowe.

— Wiadomo, że w algebrze znane są tylko rozwiązania równań pierwszych czterech stopni, a i te nawet co do równań stopnia trzeciego i czwartego są tak niedogodne i trudne, że wcale w elementarnych kursach algebry wykładane być nie mogą. Jeżeli zachodzi konieczność rozwiązania równań wyższych stopni, rozwiązują je matematycy za pomocą tak zwanego „macania" (tatonement), to jest podstawiania wartości przypuszczalnych, ku czemu rozmaici uczeni, w ich liczbie Newton, Lagrange, Sturm i. w. i. podali ułatwiające sposoby. Wszystkie jednak usiłowania odkrycia takiego sposobu, którymby bezpośrednio rozwiązywać można było równania wyższych stopni, dotychczas pełzły na niczem, i wymyślane formuły, pomimo całej genjalności swojej, nie miały praktycznego zastosowania. Otóż obecnie dowiadujemy się, że to zadanie rozwiązanem podobno zostało, i to nie przez niemców, zbyt zajętych wmawianiem w świat swojej wyższości kulturowej, żeby o posuwaniu naprzód nauki rzeczywiście myśleć mogli, ale przez Polaka. Współpracownik naszego pisma p. Wł. Sabowski przesłał w tych dniach Akademji Umiejętności w Krakowie memorjał obejmujący ogólny sposób rozwiązywania równań wszelkiego stopnia, poczynając od drugiego, za pomocą nowego, nieznanego dotąd działania rachunkowego, które p. S. nazywa „działkowaniem", a które podobne jest do wyciągania pierwiastków i mało co więcej skomplikowane. Nie uważamy się za kompetentnych do uprzedzania sądu Akademij o tym pomyśle, którego zresztą poznać dokładnie nie mieliśmy sposobności, zdaje nam się jednak, że dogodzi ciekawości wielu z naszych czytelników, jeżeli tu podamy bodaj jedno równanie stopnia drugiego, rozwiązane sposobem p. Sabowskiego. Otóż np. równanie $x^2 + 14 = 1176$ rozwiązuje p. S. w ten sposób:

1, 4 √ 11.76	28
6	$2^2 + 1 \times 2 = 6$
576	$4 \times 20 = 80$
80	$2 \times 20 + 14 = 54$

496 : 54 = 9 ... ale że $(54 + 9)\,9 = 567 > 496$

więc bierze się $(54 + 8)\,8 = 496$

0.

Jeden zatem pierwiastek tego równania jest 28, drugi odjemny — (28 + 14) = — 42, co sprawdzić łatwo.

Widzimy tu, że zwykłym sposobem nigdy się równanie nie dało rozwiązać tak szybko, sposób ten zasługiwałby więc na uwagę, gdyby nawet nie mógł być zastosowanym (z odpowiedniemi modyfikacjami) do wszystkich równań stopni wyższych.

Wynalazki.

— Próba palenia dachu gontowego, asfaltowanego metodą p. Jana Gniewosza, dyrektora spółki asfaltowej z Krosna, powiodła się we Lwowie bardzo dobrze i sprawiła senzację. Wszelkie usiłowania spalenia dachu obejmującego dwa sążnie kwadratowe powierzchni, zaledwie po godzinie i minutach dwudziestu zdołały wytlić w dwóch miejscach otwory po stopie kwadratowej. Będący obok dla porównania dach cynkowy, przy słabszym daleko ogniu już się stopił i spalił po ośmiu minutach. Winszujemy p. Gniewoszowi tej nowości bardzo dla wszystkich pożytecznej.

— Czytamy w warszawskim „Wieku": Emeryk Dunaj, inżynier, wynalazł sposób przenoszenia za pośrednictwem „fotokopji", planów architektonicznych, map geograficznych, sztychów, rysunków ołówkowych, autografów i t. p., choćby z najgrupszego papieru, na papier chemicznie przez niego preperowany. Oglądaliśmy te kopje, jak również fotograficzne klisze, z których można nieskończoną ilość egzemplarzy otrzymać przez odbicie; są one zupełnie wierne. Wynalazek ten powinien by znaleźć rozpowszechnienie, ze wszech miar bowiem okazuje się praktycznym i równie dla techników jak artystów i amatorów sztuki użytecznym.

— W Berlinie robiono ostatniemi czasy na placu Opery próbę z patentowaną maszyną do czyszczenia ulic wynalezioną przez p. Jana Bielskiego. Zaletą tego wynalazku ma być pośpiech w oczyszczaniu ulic miastowych wypływający z korzystnego jej urządzenia, mianowicie zaś, iż równocześnie zmiata śmiecie, zabiera je do wnętrza wozu, i ulicę wodą skrapia. Przytem czynność ta nie tamuje bynajmniej komunikacji zwykłej i co najważniejsze, uwalnia przechodnia od łykania tumanów kurzu, gdyż cała robota odbywa się za pomocą szczelnie zamkniętego wozu. Wynalazca obiecuje, iż w jednym dniu roboczym, oczyści tą maszyną przestrzeń około 75.000 metr. kwadr. Do obsługi jej potrzeba tylko dwóch ludzi i pary koni. Próba wspomniana wypaść miała dość dobrze, i jest niebezpodstawną nadzieja, że po ulepszeniu pewnych szczegółów, łatwo zresztą wykonalnem, wynalazek zdobędzie sobie prawo obywatelstwa, ku wdzięczności mieszkańców miast.

Podróże.

— Kapitan Allen Young, znany uczestnik pamiętnej ekspedycji M' Clintock'a, która jedyna przyniosła była pewne wiadomości o losie Franklina, urządza z końcem maja wycieczkę do zatoki Baffińskiej, a podejmuje ją własnym kosztem, na tym samym okręcie „Tandora," na którym zeszłego roku towarzyszył angielskiej ekspedycji polarnej, przy której sposobności dotarł był aż do okolicy, gdzie okręty Franklina zostały przezeń opuszczone. Celem obecnej jego wyprawy jest: połączenie się z angielskiemi okrętami kapitan Naresa, samodzielne badania w rozmaitych kierunkach, poczem powróci do ojczyzny wioząc z sobą wiadomości o wspomnionej ekspedycji Naresa. Ubezpieczając się na każdą ewentualność, Tandora zaopatrzony będzie we wszystko potrzebne na pełne dwa lata.

Archeologja.

— Dr. Schlieman otrzymał od sułtana nowy firman, mocą którego w ciągu kilku lat będzie mógł przedsięwziąć poszukiwania archeologiczne w licznych miejscowościach.

— Dr. Schliemann rozpoczął już ponownie poszukiwania na gruncie starożytnej Troi. Donoszą z tamtąd, że zbadał właśnie górną część przedwiekowego gościńca, który ciągnął się od skeickiej bramy ku równinie i był kiedyś brukowany. Przy pożarze podczas zdobycia Troi przez Greków, i droga ta zniszczoną została, lecz pod brukiem znalazł doktor Schliemann jeszcze starszą drogę ułożoną z wielkich ciosowych głazów.

Zjawiska natury.

— Szczególne zjawisko geologiczne dostrzeżono na Sycylji. W nocy z 6 na 7 kwietnia rb. mieszkańcy wioski Guarrasi, położonej w pobliżu Bonpietro usłyszeli huk podziemny. Zaledwie przerażeni z domów wybiegli, w kilku miejscach rozstąpiła się ziemia i 10 domów całkiem zniknęło, a inne natychmiast się zawaliły. Geologowie przypuszczają, że wieś była zbudowaną na miejscu wydrążonem jakąś kopalnią, i że teraz z przyczyn niezbadanych sklepienia usunęły się i zapadły.

Nekrologja.

† Franciszek Palacky, historyk i polityk czeski, umarł w Pradze d. 26 maja. Nieboszczyk był głową czeskich deklarantów. Pogrzeb odbył się z wielkim przepychem.

ROZMAITOŚCI.

— Pierwsza Rewolucja francuska, która tylu bohaterów wolności na jaw wyprowadziła, szczyci się Mirabeau'em, jako swoim wodzem wielkim. Co więcej, nawet w dzisiejszych czasach wielcy mowcy i szermierze wolności są dumni, gdy się mogą z nim porównać — a któż był właściwie ów Mirabeau? Człowiek, którego zadraśnięta miłość własna pierwsza popchnęła w szeregi bezwzględnej opozycji dla monarchji, i zrobiła go głośnym po wsze czasy trybunem ludu. — Dwór Ludwika XVI powrócił był już do Paryża, gdzie nowa opera Cheniera entuzjazmowała cały świat muzykalny. Pewnego wieczora właśnie na przedstawieniu tej opery, siedział hrabia Mirabeau niedaleko loży królewskiej. Oczarowany pięknością Marji Antoniny, nie mógł oderwać od niej oczu. Przypadkowo spojrzenia ich zbiegły się, i w tej chwili królowa skinąwszy na najbliższego dworzanina, zapytała go o coś cichym głosem. Bez wątpienia, powierzchowność Mirabeau'a uderzyła ją niezwykle, więc chciała się dowiedzieć, kto on był i jak się nazywał. Nazajutrz o wczesnej godzinie porannej, gdy pół Paryża spoczywało jeszcze w słodkim śnie, Mirabeau udał się do ogrodu Tuilerjow. Przechodząc po wspaniałych alejach, rzucił przelotne spojrzenie na okna pałacu, i w tem, ku największemu swojemu zdziwieniu, ujrzał postać kobiecą stojącą na jednym z balkonów. Była to piękna królowa, która jednak niebawem znikła mu z oczu. W chwili gdy się oddalała wymknęła się jej z rąk biała róża, i z balustrady balkonu spadła do ogrodu. Szybko przybiegł w to miejsce Mirabeau, podniósł kwiat i z uniesieniem ucałował wonne listki, poczem pospieszył do swojego przyjaciela poety Beaumarchais, i całe zdarzenie opowiedział gorącemi słowy, na jakie tylko uszczęśliwiony kochanek zdobyć się może. — „Od tej chwili — kończył — ta róża będzie zawsze moim klejnotem najdroższym, a nie zdejmę jej z serca do końca życia." — „Czyżby przypuścił kto — wtrącił na to z uśmiechem Beaumarchais — że ten sławny Mirabeau, Cezar paryski i pogromca serc kobiecych, przemieni się nagle w czułego Romea." — „Śmiej się ze mnie, szydź, drwij do syta, ale nie zdradź tego, co ci teraz opowiem... Kocham królowę, kocham ją tak jak tylko śmiertelnik kobietę kochać zdoła, kocham ją całą duszą i oddałbym wszystko co posiadam, bylebym mógł zwierzyć się jej z tem do ucha..." — „Ależ ty drżysz, Mirabeau!" — „Z radości, gdy pomyślę, jak ta róża spadła do nóg moich." — A nie mogłoż to być przypadek li prosty?"—„O nie! serce mi mówi, że stało się to skutkiem rozmyślnego zamiaru." — Być może, choć Bogiem a prawdą, bardzo to rzecz nieprawdopodobna!" — „O nie wydzieraj mi tej błogiej nadziei, a raczej poradź, co mam zrobić, by zejść się kiedy z królową. Ty, jako komedjopisarz, znasz różne intrygi: twój Figaro Almaviva najlepszym tego dowodem. Dajże mi jaką dobrą radę!" — „Proś, by cię en form przedstawiono królowej." — „Niepodobna, bo w takim razie ściągnąłbym na siebie podejrzenie u dworu, a co gorsza, krok podobny zaszkodziłby niezmiernie popularności mojej. Ja bym pragnął pomówić z królową w cztery oczy." — „Ha, w takim razie jeden tylko mam środek, mianowicie: staraj się dostać kiedy do parku w Trianonie, gdzie królowa samotna całe godziny pędzić zwykła." — „Skądże wiesz o tem?" — „Od mojego znajomego, który jest starszym ogrodnikiem w Wersalu." — „Więc musiałbym poznać koniecznie tego człowieka?" — „To drobnostka, poznajomię cię z nim." — „Dobrze, tylko nie wymieniaj mu nazwiska mojego. Powiedz żem poeta, malarz, co sam chcesz zresztą, byle nie Mirabeau."—„Przedstawię cię jako zagorzałego wielbiciela kwiatów, który gorąco pragnie oglądać cieplarnie Trianonu i Wersalu." Mirabeau nie posiadał się z radości. Przez ośm długich dni błądził napróżno po królewskich ogrodach. Dziewiątego poranku udało mu się zbliżyć do królowej, która stojąc nad jednym z małych basenów marmurowych, przypatrywała się złotym i srebrnym rybkom igrającym do promieni słonecznych. Sądząc, że królowa sama, zbliżył się szybko do niej, i podając jej białą różę, zaczął: Królowo... — lecz urwał, bo ujrzał w tej chwili zbliżającą się panią de Campan, damę dworu Marji Antoniny. Nie pozostało mu teraz nic, jak oddalić się co najrychlej. — „Znasz tego człowieka?" —spytała przybyła Marja Antonina. — „Nie, Naj. Pani!" — „Ośmielił się wręczyć mi tę oto różę. Patrz tylko, odwrócił się i przypatruje się nam. Co za śmiałość zuchwała!" I z oburzeniem rzuciła królowa niewinny kwiat do basenu. — „Ha! piekło z tobą!" — mruknął Mirabeau rozdrażniony, uchodząc z parku. — „Kto to jednak być może?—zagadnęła machinalnie towarzyszka królowej." — „Jakiś szaleniec widocznie, moja kochana Campan!" — Od tej godziny Mirabeau stał się zaciętym wrogiem dworu. Nie mógł on nigdy zapomnieć tego zimnego dumnego spojrzenia, z którem królowa rzuciła do wody różę otrzymaną. Poprzednia miłość namiętna ku Marji Antoninie zmieniła się w nim na najstraszniejszą nienawiść, i odtąd starał się wszystkiemi siłami, by tem samem uczuciem dla królewskiej rodziny, przejąć zupełnie zwolenników swoich. Dnia 23go lipca w 1789 Ludwik XVI zjawił się niespodzianie w sali Zgromadzenia narodowego. Zamiast dekoracyj miał na piersi różę białą, którą upięła mu sama królowa, mówiąc przytem, że jej śniło, iż biała róża okaże się dziś skutecznym talizmanem przeciw niebezpieczeństwom, grożącym zewsząd tronowi. Król miał przemowę długą do deputowanych, w końcu wezwał ich by nie nadużywali swej władzy, a pamiętając na złożoną przysięgę, strzegli lilij francuskich, i by nie zrobili bodaj jednego kroku fałszywego, który pociągnąć może łatwo za sobą hańbę i niebezpieczeństwa dla kraju i narodu. Atoli te słowa były prochem na wiatr rzuconym. Mirabeau drżał z wściekłej złości, gdy ujrzał na piersi królewskiej białą różę. Pewny był, że Marja Antonina opowiedziała wszystko mężowi. Zaledwie Ludwik oddalił się z sali, Mirabeau wszedł na trybunę i wygłosił mowę, która jak piorun raziła partję dworską. Następstwem jej najbliższem było przybycie markiza de Brezé, który przyniósł od króla rozkaz rozwiązania Zgromadzenia. Niespodziewany ten zwrot rzeczy sprowadził pewne zamięszanie pomiędzy deputowanymi, i już większość ich chciała usłuchać rozkazu króla, gdy w tem zagrzmiał głos z trybuny, i czarodziejsko oddziałał na umysły chwiejących się: „Allez dire à votre maitre, que nous ne quitterons nos places, que par la force des baionettes!" To Mirabeau dał taką odpowiedź wysłannikowi króla. Markiz da Brezé wrócił do pałacu i opowiedział wszystko kończąc, że deputowani oświadczyli przez usta hrabiego Mirabeau, iż nie opuszczą miejsc swoich, chyba bagnetami rozpędzeni. Na tę wieść królowa zemdlała, słaby król zbladł śmiertelnie. Odtąd rewolucja, pod wodzą Mirabeau'a, postępowała naprzód olbrzymiemi krokami. Dwór, znaglony koniecznością, usiłował rozmaitemi środkami pozyskać dla siebie rozżartego hrabiego. Sam król ofiarował mu 250,000 franków na spłacenie długów, a nadto wyznaczył mu 6,000 franków miesięcznej pensji. Gdy Mirabeau zjawił się po raz pierwszy u dworu, królowa rzekła do pani Campan: „Gdybym była wówczas przyjęła od niego tę różę, z pewnością cale w innych znachodzilibyśmy się dziś warunkach. Wyznać jednak muszę że o ile, ujrzawszy go po raz pierwszy, zatrwożyłam się, o tyle dziś czytam w jego oczach, że jak długo on żyje nie potrzebuję się niczego obawiać". — Atoli raz z miejsc ruszone masy toczyły się dalej prawem już samej ciężkości, i wszystkie zabiegi Mirabeau'a na korzyść dworu, były bezskuteczne. Rewolucja stała się wzbraną rzeką, niwecącą bez oporu wszystkie tamy. Drugiego kwietnia 1791 rozniosła się po Pazyżu wiadomość, że Mirabeau „wielki apostoł wolności" umarł nagle. O powodach śmierci opowiadano rozmaicie, to jedno powtarzano ogólnie, że na piersiach trupa znaleziono zwiędłą białą różę. Gdy smutna ta wieść doszła do królowej, Marja Antonina odwróciła się do jednej z poufnych swych towarzyszek, i rzekła żałosnym głosem: — „Umarł... więc i moja śmierć niedaleka..." Wróżba jej spełniła się rzeczywiście 16 pazdziernika 1793. Z białą różą na piersi położyła Marja głowę pod gilotynę.

— Z końcem ubiegłego roku publikował pewien literat grecki w Belgradzie obszerne dzieło o Grecji, z którego wyjmujemy niektóre daty statystyczne: Liczba mieszkańców Królestwa wynosi 1,457,894 głów, podzielonych, podług zatrudnienia, na następujące cyfry. 9,555 urzędników państwowych i gminnych, 61,885 uczniów i 11,695 uczennic, 1,713 nauczycieli i 560 nauczycielek 48,139 przemysłowców (?), 31,234 kapitalistów (?) 18,952 kupców i handlarzy, 25,178 rzemieślników, 1,441 adwokatów(!!!) 600 notarjuszów, 968 artystów, 797 lekarzy, 335 aptekarzy, 4,661 duchownych, 1872 mnichów i 113 mniszek. Dochody państwa wynoszą 40 milj. drachm (z tego 15 mil. daje cło i stęple, górnictwo około 3 milj). Dług państwa sięga sumy 300 milj. drachm a na budżecie figurują 10 milj. na jej amortyzację. Grecja ma 87 fabryk z siłą 1,120 koni a mianowicie 3 fabryki papieru, 7 żelaza, 1 igieł, 3 wyrobów jedwabnych, 4 sukna, 6 skór, 18 wyrobów bawełnianych i wełnianych, i 36 młynów parowych.

— O sprawie głośnego przeniewiercy Ertla „Pester Lloyd" podaje ciekawe szczegóły. Bar. Ertel, znakomity rysownik, chcąc zaradzić ciągłym swoim kłopotom pieniężnym, zgłosił się naprzód do pełnomocnika rossyjskiego Mołostwowa, który następnie jako chory odwołany został z Wiednia, i ofiarował mu na sprzedaż pewną liczbę map, planów i t. d. Pułkownik przyrzekł mu za to 500 rubli; ale w Petersburgu przekonano się zaraz, że pełnomocnik nabył rzeczy bez wartości i zerwano stosunki. Wśród tego jednak Ertel potrzebując pieniędzy, zgłosił się do pełnomocnika wojskowego niemieckiego hr. Finka, który za mały zadatek nabył ofiarowane mu rysunki, ale nie był w błędzie co do małej ich wartości. Niebawem pełnomocnik powołany został do Berlina. Ertel prosił go, aby go zaznajomił z nowym pełnomocnikiem. Hr. Fink był jednak zdania, że lepiej samemu utrzymać z Ertlem dalsze stosunki. Niebawem też Ertel otrzymał wezwanie do Drezna, dla spotkania się z pewną osobą, która mu przysłała pieniądze na podróż. Ertel otrzymał urlop i przybył do Drezna, gdzie spotkał pewnego pana po cywilnemu, który wcale się nie taił, iż roboty dotychczas otrzymane nie mają prawie żadnej wartości, lecz że Ertel będzie dobrze zapłacony, gdy mu da objaśnienia w wielu rzeczach, które już były z góry oznaczone, a mianowicie dokładne szczegóły tyczące się Ołomuńca i Krakowa, o r d r e d e b a t a i l l e na przypadek moblizacji, a osobliwie sposób rozkładu landwery w armji, szczegóły o spisach koni i to w datach autentycznych. Wrócił Ertel do Wiednia dostawszy pewną kwotę. Nie bez trudu uzyskał Ertel nowy urlop i przybył do Krakowa. Tu powiodło mu się dostać od oficerów, nic złego nie przeczuwających, najściślejsze objaśnienia o fortyfikacjach i ich uzbrojeniu, tak iż sporządzony przez niego rysunek nie pomija żadnego działa, jego ustawienia i wagomiaru. W Wiedniu znów wyjednał sobie, złudziwszy jednego z kolegów swoich, odpis o r d r e d e b a t a i l l e, rozpisany na każdy oddział wojska i przechowywany; nietylko odczytał go Ertel, ale i odpisał. Tak więc dokonał najważniejszej części zdania. Zanim jednak doręczył te papiery pełnomocnikowi niemieckiemu, przepisując wszystko na czysto, oraz wykończywszy rysunki przyszło mu na myśl zgłosić się również do pełnomocnika francuskiego, do którego przybył po cywilnemu. Ten wysłuchał go i zapytał, jakie daje rękojmie, że zadania swego dokona. Ertel dał mu więc swój bilet wizytowy, który w pół godziny potem znalazł się w rękach ministra wojny. Ertel został uwięziony. W domu jego znaleziono gotowe już i dokładnie wykonane rysunki fortyfikacyj Krakowa i o r d r e d e b a t a i l l e, które jeszcze nie były do Berlina wysłane.

Od Redakcji.

S. M. w Krakowie. Przysłany manuskrypt o „Zamku Kaniowskim" drukowanym nie będzie. Można go odebrać w naszej Redakcji.

Treść Nr. 23.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).